

KAMENIA

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: Miasteczko aniołów • Rozmowa z prof. Reiniussem • Spóźnione zamęcie • Z perspektywy sentymentu • Szlakiem lirycznych przystanków • Z miłości • Ideowy „Samozwaniec” • Nasz ekran • I in.

TO BYŁ TAKŻE sposób uczczenia...

WOJCIECH NATANSON

12 października 1940 roku odbyła się osobliwa, jedyna chyba w dziejach sztuki nowoczesnej „ceremonia”. Oto w wielkopolskim dworcu, posiadłości należącej do rodziny Heleny Modrzejewskiej, w stulecie jej urodzin, hitlerowski „gauleiter” zabawił się osobiście w niszczenie i palenie pozostałych po wielkiej aktorce dokumentów, korespondencji, pamiętek.

Był to osobliwy sposób złożenia hołdu. Ale w tych okolicznościach i ze strony takich ludzi — był to, mimo wszystko, wyraz uznania. Tomasz Mann napisał kiedyś, że trudno sobie wyobrazić zwycięstwo hitlerizmu i totalizmu — bez zniszczenia symfonii Beethovena. Sam fakt, że wysoki dygnitarz III Rzeszy palił pamiętki po polskiej aktorce w momencie militarnych sukcesów swego kraju, niedługo po klęsce Francji, dowodzi, iż pamięć Heleny Modrzejewskiej wydawała się „narodowym socjalistom” zjawiskiem niepokojącym i niebezpiecznym. W tym samym czasie koledzy owego gauleitera niszczyli w Krakowie nie tylko polskie biblioteki, muzea i instytucje kulturalne, ale nawet Ogród Botaniczny i laboratorium wiedzy ścisłej.

Nie pierwszy to zresztą raz stała się Modrzejewska przedmiotem przemocy. W momencie najwyższej swej chwały doznała w Warszawie dość niezwykłej przygody. W marcu 1895 r., bawiąc w Poznaniu, otrzymała wiadomość, że zapowiedziane jej występy w Rosji nie dojdą do skutku z powodu zakazu władz carskich. 17 kwietnia przyjechała do Warszawy, by interweniować osobiście oraz omówić serię swych występów na terenie samej Warszawy. Jak pisał współczesny dziennikarz — „pani Modrzejewska, wyjednawszy sobie u general-gubernatora posłuchanie na poniedziałek 22 kwietnia, w piątek już — dziesiątego — otrzymała od ober-policmajstra jak najgrzeczniejsze „zaproszenie” do wyjazdu tego samego dnia. I nocnym pościągami kurierskim wyjechała, nie chcąc narażać się na dalszą „grzeczność” policyjną.

Wyjazd był tak nagły, szykana tak brutalna, że Modrzejewska nie zdążyła odebrać depozytu w kwocie 2.000 rubli, który pozostawiła w Warszawie. Dopiero w Berlinie, 21 kwietnia, zwróciła się o pomoc w tej sprawie do ambasady amerykańskiej.

Do końca życia Modrzejewskiej, w okresie 16 lat, mimo starań i protekcji do najwyższej postawionych osób, nawet mimo wydarzeń roku 1905, zakaz został bezwzględnie utrzymany. W 1902 roku, w liście do Anny Wolskiej (ogłoszonym przez Krystynę Grzybowską w 1938 r. w „Scenie Polskiej”) pisze Modrzejewska: „Do Królestwa jeszcze mi nie wolno iechać, staraliśmy się na wszystkie sposoby, ale nie nie pomagają. „Nie lizia!” i koniec. Nie mogę na-



Modrzejewska około 1870 r.

wet pożegnać się z ukochaną Warszawą, zanim opuścisz scenę, gdzie mnie tak gorąco przyjmowano. Ale cóż robić? Niewola uczy cierpliwości...”

Jakże były przyczyny tego zakazu? Adwokat polski mieszkający w Petersburgu, Spasowicz, po bezskutecznych próbach interweniowania nawet za pośrednictwem cesarowej, stwierdził, iż „sprawa pachnie polityką”. Istotnie — tak było. Być może, iż w aktach żandarmskich zanotowano słynną publiczną denuncjację warszawskiego korespondenta pisma „Nowoje Wriemia”: „Od czasu do czasu artyści dopuszczają się demonstracji politycznych... Oto na jednym z ostatnich koncertów na cel dobroczynny zdarzył się taki wypadek: udział w nim miała Modrzejewska... Zadeklamowała wiersz, którego nie wolno wygłaszać publicznie. W wierszu tym Polska jest przedstawiona jako „męczennica” itd... Zachwyt publiczności opisać trudno. Wykonawczyni była przedmiotem szumnych owacji... Modrzejewska została skazana na zapłcenie 200 rubli kary”. Dużo wcześniej jeszcze, 22 stycznia 1880 roku, wzięła Modrzejewska udział w pogrzebie ucznia gimnazjum w Warszawie J. Neufelda, który zastrzelił się po wydaleniu go z gimnazjum za wręczenie Modrzejewskiej w czasie przedstawienia wieńca ze wstęgami o polskich barwach narodowych.

Rzecz znamienna, że całkowita artystyczna banicja wielkiej aktorki z granic ówczesnego państwa carskiego nastąpiła wtedy właśnie, gdy sława Modrzejewskiej zabłysła pełnym światłem międzynarodowym. To właśnie było głównym niebezpieczeństwem i groźbą najważniejszą. 21 sierpnia 1877 roku pisał amerykański dziennik „Alta California”: „Przed tygodniem jeszcze nazwisko to mało było znane... Za rok głośniejsze będzie od francuskiej sławy Sary Bernhard — za rok współubiegać się będzie ze świętą jeszcze pamięć-

(Dokończenie na str. 6)

WALERY BRIUSOW

Październik 1917

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Są miesiące i daty ze stygmatem Losu
W kalendarzu stuleci. Kto na przykład zetrze
Słynne Idy Marcowe z tablicy historii,
Gdy ostatni Rzymianin, co ukochał wolność,
Pierś tyrana ugodził sztyletem mściwskim?
Jak zapomnieć południe chłodne i pochmurne,
Grad kul bijących w zastęp zuchwałców, — to wszystko,
Co wiąże się z czternastym grudnia —
bezowocnym?

Jak sztandary czerwonym blaskiem powiewają
Nad morzem zbalwanionym Wielkiej Rewolucji,
Dwudziesty dzień czerwcowy
i dziesiąty sierpnia,
Aż wreszcie smutna data — ośmnasty

brumaire'a.
W tej samej Francji potem jeszcze dwa płomienie:
Jeden w lipcu wzniesiony, drugi buchnął w lutym.
Ale ponad wszystkimi datami świętymi,
Ponad grudniem, z którego dumny jest rok

piąty
I ponad lutym w wielkim roku siedemnastym
Oślepiającym blaskiem świecisz, Październiku,
Co przeobraził jesień ponurą i ciemną
W triumfującą wiosnę pełną sił młodzieńczych,
Co nowy dzień zapalił nad spróchniałym życiem
I zorzą, co zwycięsko nieugasła płonie,
Oświecił nam godziwą drogę poprzez wieki.

MAPA, KTÓRĄ PODZIWIĄ ŚWIAT

ALINA TOMASZEWSKA

Nazywa się to „Przeglądowa mapa użytkownika ziemi w Polsce”, a właściwie jest ich pięć. Pierwsza obrazuje rozmieszczenie lasów w Polsce, druga łąk i pastwisk, trzecia ziemi ornej, czwarta osiedli ludzkich, piąta nawodnienie. Jest jeszcze szósta — „zbiórca”. Czemu zawdzięcza się ich podziwu godną niezwykłość? Przyczyn jest wiele, ale przede wszystkim metoda, według której zostały sporządzone — metoda „fotograficzna” ogłoszona w roku 1932 przez profesora Franciszka Uhorczaka, obecnego kierownika Katedry Geografii Ekonomicznej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Ta dziwna, nowoczesna metoda pozwala na tworzenie tak dokładnych map, że wobec nich te „zwykłe” wyglądają prymitywnie i niejasno. Ot tak jakby na precyzyjny szkic patrzył z daleka krótkowidz bez szkieł.

Prof. Uhorczak przyjechał do Lublina we wrześniu 1949 r. i z miejsca rozpoczął pracę przy organizowaniu katedry. Miał wówczas za sobą spory dorobek naukowy, a przede wszystkim swoją metodę, która, trzeba przyznać, budziła wśród naukowców trochę niedowierzania i szereg zastrzeżeń. No bo czy podobna np. na mapie o podziałce 1:1.000.000 zaznaczyć każdy dom, tak że od razu widzi się kształt osiedla? Poszczególne dane musiałoby być

wówczas punkcikami wielkości 0,1 milimetra i widoczne „osobno” mogłyby być tylko wtedy, gdyby odległość między nimi w terenie wynosiła więcej niż 100 m.

Prof. Uhorczak nie miał jednak zamiaru zrezygnować z tego, co dla niego było faktem oczywistym i dokonany. Toteż kiedy dwa lata przed jego przybyciem do Lublina Polskie Towarzystwo Geograficzne podjęło myśl opracowania mapy użytkownika ziemi w Polsce, postanowił wziąć udział w realizacji tego zamierzenia.

Wkrótce więc po zorganizowaniu katedry na UMCS, przy pomocy pracowników Zakładu Geografii Ekonomicznej rozpoczął pracę nad tego rodzaju mapą dla województwa lubelskiego, używając swojej metody fotograficznej. Traktował tę mapę jako swego rodzaju „próbę”.

Ogólnopolska konferencja PTG, która w 1952 r. odbyła się w Lublinie, była ogromnym przeżyciem zarówno dla profesora, jak i jego współpracowników. Bo właśnie na tej konferencji profesor zademonstrował swoją „próbę”. Tym razem wzbudziła tak duże uznanie, że profesorowi Uhorczakowi powierzono zorganizowanie i kierowanie ogólnopolską pracownią, której zadaniem było zrobienie i doprowadzenie do druku „Przeglądowej mapy

(Dokończenie na str. 2)

MIASTECZKO ANIOŁÓW

HALINA MARIA DĄBROWLSKA

Trudno określić miejsce pisarza, który stoi na rozdrożu dwóch epok. Twórczość Ewy Szelburg Zarembiny jest tego przykładem. Ona pozostała ta sama, gdy świat uczynił obrót — jakże wielki...

Problem wierności sobie, własnego widzenia życia, artystycznej formy wyrazu jest wciąż otwarty i aktualny. Niewiele było osobowości w świecie literackim tak konsekwentnie trwających przy swej linii, odrębnej od pierwszych utworów do ostatnich, jak Zarembina. Nie tak to łatwo opierać się naciskom z zewnątrz, modzie, posiadać świadomość własnych środków, mieć ustalony styl i ponosić odpowiedzialność za słowo.

Ewa Szelburg Zarembina zachowała w całej rozciągłości swoistość swego talentu i w „Miasteczku aniołów”. W powieści tej zagęszczone jest narracja piękną frazą zdania, odkrywczym poszukiwaniem słowa, definicją myślową.

„Miasteczko aniołów” nawiązuje treściowo do przedwojennego cyklu powieściowego, na który złożyły się tomy: „Wędrowki Joanny” i „Ludzie z wosku”, i jest pierwszą powieścią z zpowiedzianego nowego cyklu pt. „Rzeka kłamstwa”. W „Miasteczku” Zarembina przedstawia dalsze losy Joanny, Kaja i Salomei, znane nam już z dawnych jej książek. Daje to samo środowisko, miejsce niewielkiej osady z Lubelskiej. Główna bohaterka „Miasteczka aniołów” jest małą córką Joanny i Kaja Mea-Salusia, kilkulatnia dziewczynka. To — życie prowincji — także samo jak w poprzednich utworach Zarembiny, jednak zmienione jest w oczach dziecka, a inaczej jest oglądane przez dorosłą Salomeę.

Do stron rodzinnych, po latach powraca Salomea, już dojrzała kobieta,

*) Ewa Szelburg Zarembina: *Miasteczko aniołów*. PIW, 1959.

znana autorka. Widzi rzeczy, ludzi już z perspektywy przeszłości, ulega sugestii minionych wyobrażeń siebie — dziecka. Następuje konfrontacja wspomnień z rzeczywistością. Równoległy tok dwóch czasów i podwójnych przeżyć — dziecka i osoby dorosłej.

Specjalna budowa powieściowa daje dwoistość osądu życia. Sądzi je dziecko-Salusia i komentuje ten sąd Salomea już powieściopisarka. Tak treść obaca się w niezaskrzepłej jeszcze przeszłości, która graniczy z czasem współczesnym. Kompozycyjnie także ujęcie mogłoby być ciekawym eksperymentem, fabuła opatrzona komentarzem autora — co jak w „Pamięci” Irzykowskiego, tej tragedii wierności wspomnieniom.

W „Miasteczku aniołów” jednak komentarz sprowadza się tylko do pewnych uzupełnień poprzez monolog piszącej opowieść o swym dzieciństwie i nie wyczerpuje tej formy. Zarembina w końcowych stronach książki wyjaśnia:

Salomea wie, że upraszcza pod piórem niejedną zawilść, że świadomie oddziwnia i nawet spłyca. Dlaczego? W czasie pisania zrozumiała, że musiałaby dawać nieproporcjonalnie obszerne komentarze, które same stałyby się niejako drugą powieścią, tak dzisiejszy jej czytelnik dawał się wprowadzić w obcą sobie atmosferę przeżyć i uczuć ludzi, jeszcze nie tyle dalekich, aby się stali dla niego historią, ale już nie tak mu bliskich, żeby przedstawiali współczesność.

Jedno, co mogła zrobić Salomea, iżby ciałić przed samą sobą sens swej roboty, to zachować autentyczność: nie dzielić występujących w opowieści osób na charaktery, nie kierować się ważnością lub nieważnością ich postępów dla rozwoju akcji.

Wszystko musi iść swoją koleją. Miasteczko aniołów jak szopka z jasełkami wyswieciło się z mroku na przeciąg chwili potrzebnej dla zapoznania czytelnika z jego dramatis personae. I — znika. Osoby i dramat ich życia — trwają.

„Miasteczko aniołów” przenosi nas, jak często w utworach Szelburg Zarembiny — w świat odwróconego widzenia rzeczywistości. Porwała na to relacja dziecka, które widzi życie odrealnione, pełne aniołów i zjaw.

„Co jest prawdziwe, kto jest prawdziwy” — to pytanie, które sobie stawia mała Mea, a uzupełnia wizjonerstwem opisu Szelburg Zarembina.

Z baśniowego spojrzenia otoczona w koło przez zastęp „skrzydlatych” anio-

łów i „kosmatych” diabłów, otrząsa się powoli Mea, choć nigdy niepewna istoty rzeczy. Poczucie konkretnie zakwestionowane jest w tekście powieści. Fantastyka przecież nie zmienia całkowicie obrazu zdarzeń rzeczywistych, lecz z nimi współistnieje.

„Sen koryguje wypaczenia rzeczywistości” mówi Zarembina, odwracając przyjętą teorię snu. Tak uzyskuje w powieści naczelną rolę wyobraźnia — deformacja rzeczy i zjawisk. Jednak to jest charakterystyczne dla twórczości Ewy Szelburg Zarembiny — że zatrzymuje się ona zawsze na granicy realności, nie przekracza jej całkowicie, świadoma odchylenia od prawdy uznanej przez innych. Stąd niesamowitość rodzaju Kafki nie jest udziałem treści utworów Zarembiny. Tam pisarz leci w przepaść z własnymi postaciami, w obłęd. Bohaterowie powieści Zarembiny nie przekraczają progi szaleństwa.

Autorka lubi bawić się bajką, tęczę. Jest raczej poetką niż prozaiczką, mimo umiejętności świetnego kreślenia realnych scen i osób. W reakcjach głęboka i humanitarna.

Nad „Miasteczkiem aniołów”, nad broliwstwem Salomei unosi się do brotliwy urok pięknej przyrody, szla-

(Dokończenie na str. 6)

Mapa którą podziwia świat

(Dokończenie ze str. 1)

użytkowania ziemi w Polsce”. Wkrótce po utworzeniu pracowni przejął Instytut Geograficzny Polskiej Akademii Nauk.

Rozpoczęła się praca żmudna i drobniawa. Trzeba było opracować całą masę danych statystycznych dla każdej wsi, gminy, miasta. Nim na „stepej” mapie zabarwiły się żółto-brunatne plamy ziemi ornej, zielone pola lasów i wielkoceści łąkówek milimetrów zielone punkciki grup drzew, minęło wiele miesięcy statystycznych obliczeń. Właściwie wszystkie ośrodki uniwersyteckie w Polsce miały współdziałać w tym dziele. Ale ostatecznie

75 proc. pracy wykonał ośrodek lubelski. Uniwersytet toruński opracował dane dla województwa gdańskiego i bydgoskiego. Wkład pracy innych uczelni był minimalny.

I oto w 1959 roku pierwsze „Mapy przeglądowe” wyszły spod pras drukarskich. Są tak precyzyjne, że przy dokładnym studium wymagają pomocy szkła powiększającego. Patrząc na nie widzimy kształty wsi w całej Polsce: tu dominują „ulicówki”, tam „łancuchówki”, tam znowu mają charakter rozrzucony. Jasno i wyraźnie widać „krzyż Warszawy”, jej większe i mniejsze arterie; kształt Łodzi, Lublina, Poznania, „bezludne” niemal wschodnie krańce.

Albo rzeki. Na mapie zaznaczono najdrobniejsze nawet strumyczki bez nazw, o ile mają więcej niż 1 km długości. Z tej mapy jasno wynika, że np. Lubelszczyzna jest terenem niezwykle ubogim w te właśnie „poniki” — jakby powiedział Mickiewicz, i budowa Kanału Wieprz-Krzna wobec takiej sytuacji nie jest bynajmniej czyjąś „fanaberią”, ale palącą koniecznością gospodarczą. Koniecznością doprowadzenia wody tam, gdzie brak jej odczuwa żywna, mogąca dawać obfite plony ziemi.

Mapa, dzięki metodzie fotograficznej, daje po raz pierwszy w dziejach dokładne rozmiary łąk i pastwisk, uwzględniając nawet drobne łączki, rozlane np. między gruntami ornymi.

A co ciekawsze, staliśmy się z kolei trzecim państwem na świecie, które mapę przeglądową użytkowania ziemi w swoim kraju w ogóle posiada. Pierwszą taką mapę sporządziła, jeszcze przed drugą wojną światową, Anglia. Następna — Japonia (obce oczywiście innymi metodami). Nasza mapa stała się ogólno-swiatową sensacją w sferze naukowców-geografów. Była demonstrowana na XVIII Międzynarodowym Kongresie Geografów w Rio de Janeiro, na Konferencji Atlasów Narodowych w Moskwie, na Geograficznym Seminarium Międzynarodowym w Aligarh w Indiach, w Akademii Nauk w Rumunii itp. Dzięki temu ogromnemu zainteresowaniu mapa szybko rozchodzi się po całym świecie. Eksportujemy ją do Kanady, Nowej Zelandii i d.

Oczywiście „Mapa przeglądowa użytkowania ziemi w Polsce” nie jest jedyną pracą lubelskiego ośrodka geograficznego. Jego badania są o wiele szersze i obejmują cały szereg innych zagadnień.

Alina Tomaszewska

R O Z M O W A z profesorem Reinfussem

MARIA GINALSKA

— Panie profesorze! Oto rysunek przedstawiający pięć najbardziej i powych ludowych skrzyń malowanych, pochodzących z nieznanego ośrodka skrzyńniarskiego, wymarłego naturalnie, jak wszystkie na Lubelszczyźnie. Zostałam naprowadzona na ślad w sposób dość niezwykły: czytając utwory poetów ludowych Chełmszczyzny zwróciłam uwagę, że wielu z nich pisze o skrzyńniach malowanych. Oto charakterystyczny przykład:

Waż mnie Jasiętku za żonę,
Da ci moja matuś sukmanę
I trzewiki nowe,
Pierzyny puchowe,
Skrzyńie malowane,
Plótnem wybijane...

Jest to wiersz Pauliny Hołysz. A teraz ludowa satyra, reprezentowana przez Józefa Bassę:

...Chłop skrzyńię porąbał, co wzięła na wiano.
Innej rady nie ma, powiada do żony,
Węgla brak w GS-ie, las upaństwowiony.

Wysnułam prosty wniosek, że musiał istnieć w powiecie chełmskim ośrodek skrzyńniarski, zaopatrujący całą okolicę w te tak piękne, niezbędne w każdej chacie meble. Wiemy, że sprzedawano je dawniej na jarmarkach, lecz nie przewożono na zbyt dalekie odległości ze zrozumiałych względów.

Zwróciłam się najpierw do poetów: może sami posiadają te zabytki lub wiedzą, u kogo się znajdują? W jakich czasach i gdzie je wytworzyli, gdzie je produkowano? Niestety, wszystkie wiadomości mi egzemplarze uległy zniszczeniu, zakopane w czasie wojny w ziemi z cennymi rzeczami. Znalazłam

wprowadzić kilka skrzyń według podanych adresów, lecz wszystkie były dla odświeżenia przemalowane na jeden kolor. A więc niepowodzenie na całej linii, które trwało tygodnie, a nawet miesiące. Chciałam już zrezygnować.

I wtedy przyszło mi na myśl, by szukać po wsiach bardzo odległych od miasta i szlaków komunikacyjnych, gdzie ludność nie była narażona na represje okupanta. Wybrałam wieś starą, niedołączoną pożarami i nareszcie moja myśl została uwieńczona powodzeniem. Mocno zabliło mi serce, gdy zaprowadzono mnie do mrocznej komory, pokazując bardzo starą, bo 120—150 lat liczącą skrzyńnię (oznaczoną na rysunku nr 3), całą pokrytą wielobarwnymi, doskonale zakonserwowanymi rysunkami. Dalej szło już łatwo. Od najstarszych ludzi dowiedziałam się, że ośrodek mieścił się we wsi Grabowiec (obecnie pow. hrubieszowski).

Czy Pan Profesor byłby uprzejmy scharakteryzować je na podstawie rysunku i ocenić ich wartość?

— Cztery spośród narysowanych skrzyń mają styl i desenie podobne do znanych mi eksponatów z sąsiednich powiatów, szczególnie z zamojskiego. Natomiast skrzyńnię oznaczoną przez panią cyfrą nr 4 jest mi zupełnie nieznaną i reprezentuje styl zupełnie odmienny. Jest prawdopodobnie bardzo stara lub została być może przywiezio-

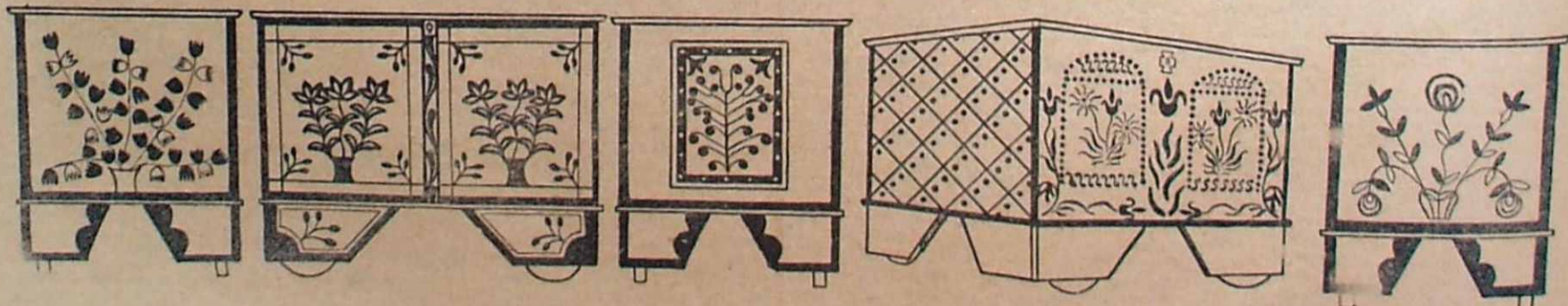
na z odległych stron jako wiano panny młodej.

— Ile ośrodków skrzyńniarskich na Lubelszczyźnie znanych jest etnografom i jaki poziom artystyczny reprezentują skrzyńie naszego regionu?

— Znam trzydzieści jeden ośrodków. Ten, który pani odszukała, byłby więc trzydziesty drugi z kolei. Skrzyńie Lubelszczyzny w porównaniu z innymi regionami są bardzo „ludowe”, to znaczy cechuje je pewien prymitywizm, autentyzm ornamentów i brak efektów wymyślnych, lecz zapożyczonych.

— Na zakończenie naszej rozmowy pozwolił Pan, że zadam frapujące mnie od dawna pytanie. Czytałam przed kilku laty, że znany artysta francuski Gerard Philippe bawiąc w Polsce, tak zachwycił się krakowskimi skrzyńniami, że zamówił dla siebie jeden egzemplarz, który po wykonaniu wysłano mu do Paryża. Czyżby skrzyńie polskie były takim ewenementem na skalę międzynarodową?

— Thumaczę sobie tę sprawę jako wyraz indywidualnego gustu francuskiego artysty. Wprawdzie krakowskie skrzyńie są bardzo oryginalne i efektowne, lecz należy pamiętać, że artystyczne skrzyńniarstwo jest znane prawie w całej środkowo-zachodniej Europie i osiągnęło bardzo wysoki poziom artystyczny na przestrzeni wieków.



WALERY BRIUSOW

w przekładach
KAZIMIERZA ANDRZEJA
JAWORSKIEGO

Poeta — muzie

Zdradzałem ludzi, opuszczałem drogi
I porzucałem sztandary przed starciem, —
Lecz wierny wciąż rozkazom twoim srogim,
Słuchałem ich uparcie.

Głos usłyszawszy twój słodki i święty,
Z łóżka zrywałem się mimo choroby,
Ust umykałem pieszczotom namiętnym,
By tylko znów być z tobą.

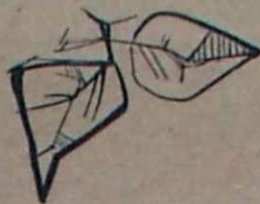
W polu przy cichym, czułym szepecie niwy,
Owiany cieniem obłoczków z opali,
Kaźde westchnienie, kaźdy dreszcz szczęśliwy
Chciałem w wierszu utrwalić.

Miotany żądzą, w zmysłowym szaleństwie,
Los powierzając swój burzliwym toniom,
Wciąż pamiętałem, że po to jest szczęście,
By tobie mówić o nim!

Kiedy śmierć stała kościstym upiorem
U łoża tej, co była dla mnie wszystkim,
Skroś ból i rozpacz chłonałem z uporem
Ostatnich chwil przeblyski.

Kiedy pieściłem kurek rewolweru,
Zmęczony cierpiem długich doświadczeń,
Szczęśliwy byłem, że z swych wyznań szczyrych
Upłotę tobie wieniec.

Nie wiem, czy życia wiele mi zostało,
Do światła idę czy w ciemności zginę,
Dusza być wierna tobie nie przestała,
Tobie, tobie jedynej.



Wesoły zew

Zew wiosny w świeżej drzew gęstwinie,
Fal morskich buntowniczy zryw,
Krzak dzięki róży w skał szczylinie,
Księżyc łódź wśród chmury grzyw,
Ten blask, ten gwar, co świat przenika,
Pokusy, myśli, urok śnień, —
Od ciężkich w lesie kroków dzika
Do skrzydeł wałki lekkich drgnień, —
Miluję jeszcze i ogarniam
I patrzę niby w błogim śnie,
Jak anioł burzy deszczem tnie
Użyźniającym ziemię czarną.

Cokolwiek przyszłość mi gotuje,
Nawalnie grom czy ciszy czar,
Mój duch wciąż cały zachowuje
Nietknięty duszy mojej skarb.
Czy znów miłości czeka lenno,
Niewola słodka młodych lat,
Czy też nad duszą mą promienną
Błyskawicę tylnie siny bat, —
Na wawrzyn, na cierniowe wianki
Odpowiem żywym wierszem ja,
Łowiący z dni spienionych dna
Stubarwne perły niespodzianki.

A gdy nadejdzie chwila grozy,
Nieodwracalny śmiereci czas,
Co rękę zimną swą poloży
Na oczach mych, by blask ich zgasł, —
Nowych się wrażeń nie ulękne,
Twarz zagadkową ku mnie skłoń, —
Niech do okrętu czasów wprzegnę
Me czelno też surowa dłoń.
Wierzę, wiecznością osłonięty,
Że w tych bezmiarach poznam też
I ból, i miłość, zew namiętny,
dzień, noc, biel zimy, wiosny dreszcz!...

LESZEK MIERKOWSKI

W zrzadzeniu

Chciałbyś do mnie ludzkim głosem przemówić
mój przyjacielu,
a musisz poddać się prawom psiego ciała

I w szarej skórze przeżyć się i lasię
mój przyjacielu
i futro tulić do nóg swego pana

i cierpiasz mękę tęsknoty by przemówić do mnie
mój przyjacielu,

a kaźde słowo wypatrujesz swym wiernym spojrzeniem.

Uppsala, styczeń 1958

Cień

idzie idzie cień długimi krokami
od piaszczystych golizn pod sosnami
od splekanych miedz pod gruszami
skokiem sekatego konara
rzęsą podcienia strzech
rzutem drogowskazaku rozstajów
zgarbionym żebraka kosturem
przedwieczornym krogulcem latarni

ociera się o bezdomną miłość na rogu
niknie na chwilę w piwiarnianych oparach
zjawia się nagle jak grzech
w nocnych zwiadach panińskich pokojów

kucą pod więziennym murem
naprzeciw kolorowej kawiarni
i gaśnie pod drzwiami na progu
cień

Uppsala w sierpniu 1955



Który raz

I znowu wiosna. Znanie koło
Zamknięte — który raz!
Znów zieleń pyszni się wesoło
I nocą rosy pełen las.

Patrzę — jak miesiąc w wody czarne —
W najdroższych oczu blask.
Usta do drżących ust przygarne...
Przygarne — który raz!

I będzie chwila jak sen płochy
Kołysać, kość nas.
Jestem szczęśliwy, znowu Kocham...
Kocham — ach, który raz!

I znów marzeniom strofok trzeba,
Więc śpiewam — który raz!
A miesiąc zimny patrzy z nieba
Mierzając swym okiem czas.

Uwolnienie

Do muru łódź przybiła w nocy,
już lina z góry jest spuszczone,
i przy drabinki tej pomocy
z wieży się zeszliżnęła Ona.

Drżący ze szczęścia, pełni trwogi,
bacznie śledziliśmy Jej ruchy, —
aż się dotknęły lekko nogi
rozkołysanej w wodzie rufy!

Jak świętość w rękach Ją uniosłem
welonem osłoniętą całą,
i ciche były ruchy włosów,
i łódź jak widmo się ślizgała.

Nie zdjęła z twarzy swej zawoju,
nie powitała nas ni słowem,
lecz głośniejszą szum przyboju
tłukły się serca w nas stalowe.

I pochyliwszy głowy niżej,
ścisnąc szpady i sztylęty,
wiedzieliśmy, że już się zbliża
czas pojedynków o kobiecie.

Spóźnione zameście

MARIA GRZĘDZIŁSKA

d 10/22 Lipca 1859 Płocza

Wytędzając ostatnią razę z Stryhowa uważałeś zapewne, że cały dom jest tam przewróconym jak mówią do góry nogami — w takich ruderach nie podobno jest kilku nawet osób przyzwicie umieścić. Ułożyliśmy tedy z Maryą, że szlub wasz odbędzie się w Płoczce — Półtory mili z tąd do parafialnego kościoła Zbironi, bez wielkiego zatem ambassu wszystkim to się da załatwić. Mnie zaś miło że w mojej chacie los mojej kuzynki ustalonym zostanie, i że oddam to Iey, com winien pamięci Iey Rodziców. Uwiadomiam Kochanego Pana o tem i proszę jak już ułożycie się o dzień szlubu, prosto do mnie przyjeżdżać, gdzie z otwartymi rękoma i życzliwym sercem przyjętym będziesz, z Brześcią żyćcie niają konie prosto do Płoczki — iedzie się przez Zbironi i jest tylko mil cztery — Koni pocztowych z traktu Szosą nigdzie na stronę nie dać — Proszę przyjąć zapewnienie szczerzej przychylności i szacunku z jakim zostaje życzliwym Sługą

A. Trębicki

Cóż to się działo, że panna Maria Trębicka nie mogła brać ślubu u siebie? Czemuż Adolf Trębicki tak misternie zaprasza Felicjana Faleńskiego? Rzeczy tak się mają, że młodszy brat panny Marii, Gothard Turno również się żeni i wzięł się do przebudowy dworu. Narzeczona jego jest wielkopolska kuzynka, Ludwika Turnowna z Obiezierza, gdzie żyje się bardziej po pańsku niż w Stryhowie. Wiesz na Marię i Gotharda spadła po babce, pani Wojskiej Laskowskiej, której gościem bywał ongi Franciszek Karpiński i naturalnie wypoczywał pod starym dębem w ogrodzie. Oczywiście nie można o tak niezręczną sytuację winić o'ca Gotharda, generała Turnę. Stary wójak jest chyba przygluchy, zapada na zdrowiu i do niczego się już nie miesza. Gothard jest rejnoletni. O staruszkę Marię Trębicką nigdy nie pisze „wuj” ani „dziadek”, jest chyba ojczymem. Gothard, o tyle młodszy, jest wychowawcą starszej siostry, której domowe obowiązki wła-

śnie się skończyły, gdy on się żeni. Ma prawo i ona spełnić swoje obywatelskie zamysły.

Jej korespondencja z Felicjanem Faleńskim trwa już pięć lat. Co roku widocznie całe towarzystwo ze Stryhowa wybierało się latem do Warszawy, aby załatwić różne interesy. W lipcu roku 1854 panna Trębicka poznała Felicjana przez znajomych. Mogli to być bracia Komorowscy, Ignacy i Józef, mogli być i państwo Luszczyńscy, choć to mniej prawdopodobne. Poznawszy się, Felicjan i Maria rozmawiali z sobą niewiele, ktoś inny bowiem zagadał całe towarzystwo, ale być może mówili o Mussecie, o Cyprianie Norwidzie, bawiającym wówczas w Ameryce, o literaturze z całą pewnością. Pierwszy temat jest pewny, bo zaraz potem Trębicka posłała Faleńskiemu poezję Musseta. Drugi również: on z Norwidem chodził do szkoły, ona z nim doskonale się znała, a nie tak dawno przez nią posłał do Deotymy wiersz „Rzeczywistość i marzenia”. I w dodatku w pierwszych listach dosyć dużo się o nim pisało, dopiero potem ani słowa. W owej pierwszej rozmowie Faleński zdołał się ukazać jako cierpiący duchowo romantyczny ironista, ona zaś ujawniła swą orientację w życiu i w rachunkach, bo wylizowała, ile to jest półtora razy półtora. Nie będąc piękną, umiała zainteresować sobą, ując wdziękiem towarzyskim, obyciem światowym, a nawet pewną formą subtelnej i życzliwej dobronci, której zapewne nie starczyło jej do końca życia, skoro Leonard Sowiński ją podobno miał na myśli, gdy pisał o „lady Harpii Koturn”, małżonce „Jorda Koturna”.¹⁾ Cóż, wszyscy ludzie mają wrogów i przyjaciół, wielbiciele i szyderców. W dodatku miewa się do panny Trębickiej pretencje, że odmówiła swej reki Cyprianowi Norwidowi. Doprawdy niesłuszne to żale. Jak widać z korespondencji, w Faleńskim się rozkochała, a jeżeli w niej napomyka o jakiejś swojej wcześniejszej tragedii serca, z pewnością był to ktoś inny, jakby z sąsiedztwa. Miała jakiś o-

¹⁾ O „lady Harpii” można porównać artykuł J. W. Gomulickiego „Duch od pragnień”, Ateneum 1938, nr 6.

drętwiający serce zawód, z którego wyszła dzięki Felicjanowi. Norwid zaś „tak już nabrał mijania nalogu”, że i tu zgłosił się za późno.

Stan duchowy Faleńskiego w owym czasie był fatalny, jego sytuacja również zła. Należał do tej drugiej generacji romantyków, która kwiatów w dzieciństwie nie miała, „iż je grad kul rozorał, posiawszy wawrzyny”. Od autora tych słów, Norwida, od Lenartowicza czy Zmorzkiego był trochę młodszy. Dojrzał w atmosferze spisków politycznych, w oczekiwaniu na złudną wiosnę, która błysnęła i zgasła w roku 1848. W dodatku, nie żyjący od 1839 roku ojciec jego bardzo źle się zapisał u współczesnych jako prawa ręka Nowosiłcowa i Paskiewicza. To było gorzej niż paść od kul powstańców w noc belwederską, jak się zdarzyło generałowi Trębickiemu. Tak więc los Felicjana był trudniejszy niż los jego rówieśników, wśród których tyłu było ludzi rozbitych i zmarnowanych. Może i jemu to groziło, czuł to z pewnością i dlatego przyjął życzliwą dłoń Marii Trębickiej.

Na początku korespondencji postawiono kilka rozsądnych jej warunków. Stawiał je poeta sam, choć twierdził, że w jego głowie jest tylko narzyna liczbą klepek. Piąta, wraz z inną jego własnością, przylgnęła do rąk osoby otaczającej go przez kilka lat „srodze czułą” opieką. Był wtedy rzeczywiście w kłopotach i bez skutku szukał zajęcia. Owe więc warunki listów głosiły, że nie należy ich liczyć ani mierzyc, ani w nich wypisywać grzeczności, ani na nie odpisywać formalnie, ani bać się zbyt świeżej znajomości. Najprostszą rzeczą — znać ją za starą, lecz przetrwaną. Tymczasem on się zmienił, jest chory. Cóż tedy pchnęło Faleńskiego ku Trębickiej? Szukał oparcia o jakąś mocniejszą indywidualność, o wyrobiony już zupełnie charakter. Czegoż zaś szukała ona? Warto byłoby porównać jej listy do Felicjana z listami do Cypriana, ale te nie istnieją. Dla Faleńskiego okazuje się kłopotliwą duchową, która budzi w nim zaufanie do siebie, która go docenia, która nim się interesuje jako wyjątkową organizacją ludzką, a wreszcie wnika w jego osobiste cierpienia. Faleński przyznaje wyższość nad sobą Deotymie, Trębicka katgorycznie jej stawia wężę. Nigdy go nie zestawia z Norwidem, nie przymierza do Mistrzów romantyzmu, widzi go samego dla siebie, podobnie jak Lenartowicza. Nie lubi za to „Medarda”, czyli kwaśnego i

(Dokończenie na str. 4)

Spóźnione zamięście

(Dokończenie ze str. 3)

zgrzyliwego sobowtóra poety, który jako Felicjan jest idealistą, lirycznym marzycielem. Medard przygląda się światu wykrzywiony, pisze satyrę i parodię. Jest „powieściarzem” według słów Faleńskiego. Taką świadomością własnego rozstroju wyraża się w słowach: „Cyprian jest taki wariat jak ja, ale spokojny”. „Jestem bardziej chorym od Cypriana”. Cały pierwszy list to przykład dręczącej samoanalizy.

Jesienią 1854 roku składa Faleński egzamin gubernerski i obejmuje obowiązki w Okalinie pod Opatowem. Korespondencja rozwija się wciąż, na pewien czas przerywa ją ciężka choroba Felicjana. Trębicka umie go zachęcić do zwierzeń, gdyż o swoich przyjaciółach „tylko od nich samych chce się dowiadywać”. Słowo w słowo to samo napisała Norwidowi, taką widać miała dewizę. Norwid zaś wziął ją za uprawnienie do oświadczenia. Faleński ma na to czas, zaledwie się poznali. Czy pobyt w Okalinie był owocny pedagogicznie, można wątpić. Przyniósł sporo wierszy, z których kilka znajduje się wśród listów. Same też listy są interesujące literacko, np. list z zimy: poeta wyobraża sobie, że pagórkowaty krajobraz we mgle jest dnem morza, on zaś jak nurek posuwa się w ciszy wśród nagłych wierzb, podobnych do krzaków koralu.

Latem 1855 Trębicka nie zastała w Warszawie Faleńskiego, który był tam nieco wcześniej. Jesienią porzucił gubernerkę i znalazł się w krewnych w Niedzielskich należących do Ordynacji Zamojskiej. Po pobycie w Lublinie dłuższy czas przebywał w Warszawie i wydał wtedy Kwiaty i kolce. Tym razem doszło już do spotkania, nie jednego nawet. W czerwcu można mówić tylko o zacieśnieniu przyjaźni, po spotkaniu sierpniowym Faleński wreszcie czuje się szczęśliwym, bo „stracił samego siebie”. „Mój Boże, ja nawet sił do szczęścia już w sobie nie czułam, a znalazły się i szczęśliwa jestem...” píše po powrocie do Stryhowa Trębicka. Nic dziwnego, że teraz nie zraniły bardzo Faleńskiego złośliwości krytyków jego książki. Dokonał się w nim ważny i korzystny przełom. Zresztą po niezłej recenzji Kaszewskiego w „Bibliotece Warszawskiej” pocieszył go Siemiński w „Czasie” krakowskim.

W ciągu lat następnych Faleński przebywał na Lubelszczyźnie, jesienią zwykle spędzał w Lublinie, w zimie siedział u swej siostry Apolonii Wieniawskiej. Mąż jej Tadeusz Wieniawski był lekarzem Ordynacji Zamojskiej bratem Henryka i Józefa. Wieniawscy mieszkali w Szebrzeszynie lub w niedalekich Niedzielskich. Wizyty Faleńskiego w Warszawie przypadają teraz na lato, ale czerwcowe spotkanie udatemnia mu choroba. Trębicka opuszcza Warszawę stroskana i zawiedziona. Za to w sierpniu widzą się wreszcie i w jakiejś kaplicy pod ołtarzem Matki Boskiej zamieniają obrączki. „Ale wracam do podróży mojej — pisze Maria. — Zimno było dotkliwie przez całą noc, ale mnie mało się uczuło dawalo, tylko chwilami, doprawdy że kiedy o tobie się zamyślę, nie ma ni sloty, ni burzy, ni zimna, zdaje mnie się i tak jest pewnie, że znowu mam cię przy sobie, żeś mnie przygarnął i utulił, a nade mną świecą znowu ciepłym światłem swoim, twoje dobre, ukochane oczy, moje słońce czarne i jasne razem...” Do małżeństwa jeszcze daleko, trudności piętury się sporo, ale listy są pełne pogody, poufale, serdeczne, niekiedy pełne egzaltacji. Mają one teraz formę dzienników, każdy z nich rozpoczyna się po wysłaniu poprzedniego i odchodzi po dwa tygodniach. Faleński po Bożym Narodzeniu opuszcza Lublin i udaje się do Szebrzeszyna. Trębicka tymczasem wyprawia Gotharda w świat. Młody człowiek bywa w Parżu w bardzo wytwornych domach, pisuje stamtąd francuskie relecture, a za powrotem wstępuje do Obiezierza, gdzie poznaje piękną Ludwikę. Trębicka wiecznie drży o niego, co zapewne trochę drażni Felicjana. Poza tym, czując się niedobrze, myśli ona wiosną o kuracji w Sławniku. Powstają projekty. Pani Tekla Faleńska chce, wydostawszy swoje kapitały, kupić wioskę i tam na pewien czas dać schronienie Felicjanowi i jego żonie, póki on nie zdobędzie sobie, jak można sądzić, trwalszej pozycji w życiu. Trębicka

również zaczyna krzątać się, myśli o wydobyciu swoich pieniędzy. Niewątpliwie komplikuje jakoś rzeczy stosunek Marii do Gotharda. Poświęciła mu swą młodość, a on do tego przywykł. Może myśli, że siostra zostanie przy nim na zawsze i ulży jego przyszłej żonie w sprawach domowych. Rozczarowanie przebiega się w gorących zapewnieniach o dobroci, wdzięczności i przywiązaniu Gotharda. Zabawny to incydent, gdy Maria pokazuje Gothardowi pierścień męski otrzymany w Warszawie od Felicjana, a Gothard wkłada go sobie na palec i nosi go w przekonaniu, że dar jest dla niego. W końcu Felicjan musi się zezłościć. Nazywa siebie wtedy biednym kundlem, który siedzi na mrozie w lichej budzie i czeka na kawał zeschłego czarnego chleba, i służy wiernie swej pani, a jest niczym wobec karmionego śmietanką i ciastkami pokojowego pieska, który wciąż grymasi siedząc na jej kolana. Powodem były rzeczywiście kapersy Gotharda. Wiosną roku 1858 obaj Turnowie wraz z Marią wyruszyli do Warszawy, a stamtąd już koleją (i) przez Piotrków do Wrocławia. Tam ona zasięga porady Frerichsa, następnie wszyscy jadą do Obiezierza. Były projekty inne, Faleński miał odwiedzić Marię w Stryhowie, ale zatrzymały go w Lublinie przewlekłe interesy, zapewne chodziło o sprawy majątkowe pani Tekli. Dopiero więc pod koniec lipca zdołał na „banhofie” warszawskim powitać Marię wracającą z Wielkopolski. Stamtąd pojechali razem do Stryhowa. Tak upłynął czwarty rok znajomości.

W ciągu ostatniego roku Faleński odwiedził Stryhów podczas świąt starożytności i w czerwcu. W tym czasie pani Tekla Faleńska kupiła Kazimierzówkę wioskę niewielką, której nie można zidentyfikować w Słowniku Geograficznym. Leży ona pewno w pobliżu Michałówki w powiecie tomaszowskim. Michałówkę zaś Faleński często odwiedzał. Dwór w owej nabytej wsi był nieosobliwy, mury i strzechy kryty, ze stajniami i chlewikami pod bokiem. Trębicka, wydostawszy swój posąg, myśli o kupnie czegoś również na Lubelszczyźnie, a nie broń Boże w stronach Kobrynia. Majątkiem tym miała być Wólka Podhorecka w hrubieszowskim powiecie. Mógł to być jakiś inny majątek, ale widocznie

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Z perspektywy sentymentu

Liryka Marka Adama Jaworskiego* przepuszcza lokowane w niej motywy, tematy, tło, w ogóle — wszystko co składa się na poetycką strukturę wiersza, przez pryzmat sentymentu, rozumianego najprościej i najzretelniej jako odruch chętnego do miłości, lecz i gotowego do nienawiści serca człowieka. Tak rozumiany, zatem daleki w swej zasadzie od czułościowości bądź hysterii sentyment odpowiada zarazem na pytanie, dlaczego M. A. Jaworski, dziennikarz z pasji i powołania, chwytając w przerwach między jednym a drugim artykułem za poetyckie pióro: liryka jest dla niego — o ile może rozumieć obserwowując ją z zewnątrz krytyk — czymś w rodzaju sekretnego pamiętnika, w którym można i wypada zapisywać swoje najintymniejsze wzruszenia, sympatie i antypatie bez obawy tak częstego i irytującego w elaboratach publicystycznych (nie myślę w tej chwili o Jaworskim) ekshibicjonizmu, bądź — jeszcze wstrętniejszego — mizdrzenia się, kokieteryjnej obfudy, a nawet załamania.

Nie tylko poetyckie, ludzkie, sentymenty M. A. Jaworskiego są więc szczerze i proste, są — autentyczne. Ogarniają świat, ludzi, krajobraz, uśmiechają się do miast, w których

* Marek Adam Jaworski: „Wista w Kazimierzu”, Lublin 1959, s. 41, 2 nrb. Biblioteka Kameny.

przekonano się, że nie warto ryzykować pieniędzy. Nic dziwnego, od dłuższego czasu w listach omawia się aktualną wówczas sprawę zniesienia pańszczyzny. Trębicka oburza się na sąsiadów, że nie chcą zrozumieć i po staremu nie mają chłopa za człowieka, ale mimo swej egzaltacji miłosnej patrzy trzeźwo i widzi, że całe podstawy gospodarki radykalnie się zmieniają. Toteż po półrocznym mieszkaniu w Kazimierzówce Faleński na nowy rok wyjechał do Warszawy dla znalezienia lokaty pieniędzy. Zda się, że doszło do kupna kamienicy, bo w listach do Karola Estreicher skarżą się państwo Faleńscy na nie płacących lokatorów. Stać się to musiało w roku 1860, gdyż Faleński był świadkiem ówczesnych manifestacji politycznych i widział, jak na pogrzebie pięciu poległych Deotyma niosła cierniową koronę. Potem — pisze — bywała jednak na Zamku u Berga. Pani Faleńska zaś nie zdążyła wysłać do hr. Tomasza Zamojskiego biletu tej treści:

Niech mi Pan zechce darować moją prośbę. Smutek mój i niepokój może potrafią mnie wytłomaczyć. Od wczoraj rano mąż mój nie wrócił i wiem, że jest w kościele S-go Jana. Czy nie można co wiedzieć o tym, co czeka osoby tam zamkniętej? Uciekam się do Pana z prośbą o rade albo choć o jaką wiadomość, wdzięczną bym był/a bardzo, gdyby Pan mógł na chwilkę być u mnie, jeśli niepodobna to chociaż proszę o słowo odpowiedzi, pewna że Pan potrafi ocenić moje cierpienie —

ulica Jasna, Maryja Faleńska
dom Frdydrycha, na dole —

Przypuszczać można, że Faleński uwrócił przed oddaniem listu po-

przebywa poeta, drżąc gniewem i bólem na widok egoizmu, podłości, niesprawiedliwości. Uczucia to bliskie poetom od samego początku poezji i może dlatego autor „Wisły w Kazimierzu” nie sili się zbyt na znajdowanie dla nich specjalnie oryginalnego, własnego wyrazu, formy lirycznej, bierze ją chętnie z tradycji (młodo-polskiej w gruncie rzeczy) i napełnia osobistą, autobiograficzną treścią. W przeciwieństwie do dzisiejszej i nie tylko do dzisiejszej młodzieży literackiej M. A. Jaworski nie lubi, chyba nawet nie ceni eksperymentu, jemu przeznaczone laboratorium zamienia na przytulny poetycki gabinet, by w nim swobodnie zapisywać karty kroniki własnego serca. Dziwne tylko, że ta kronika urywa się niespodzianie w roku 1955 — taką bowiem datę nosi najpóźniejszy wiersz „Wisły w Kazimierzu”...

Ta data — wyznać trzeba — paraliżuje skutecznie krytyczne zapędy czytelnika „Wisły w Kazimierzu”, pozostawia go bowiem w niepewności, czy ma do czynienia tylko z długą przerwą w twórczości dla nabrania pełniejszego, lirycznego oddechu, czy też z dorobkiem już (przynajmniej w obecnym rozumieniu artysty) zamkniętym, opuszczonym przez M. A. Jaworskiego dla realizacji innych, może również literackich, ale w każdym razie niepoetyckich, celów. Jeśli mamy do czynienia z tą ostatnią okolicznością, wypada wyrazić żal, że młodemu artyście zabrakło cierpliwości na kontynuację, rozwinięcie słusznej w swych koncepcyjnych założeniach linii lirycznej. Jeśli jednak M. A. Jaworski zatrzymał się tylko w swej poetyckiej drodze, by nabrać twórczego oddechu i rozszerzyć się szerzej w perspektywach własnej liryki i fundującego ją sentymentu — mamy prawo spodziewać się wykorzystania tych artystycznych wczasów w sposób jak najbardziej zgodny z zasadami higieny i ekonomiki literackiej.

Wypadnie więc (to są już moje, nie tyle „pobożne”, ile serdeczne życzenia i postulaty) zatroszczyć się M. A. Jaworskiemu o nazbyt jednak przezeń postępowany eksperyment, o wypracowanie własnej, pasującej swoim autentyzmem do autentycznej treści, poetyki, o wytrzebienie młodopolskich relikwiotów tam, gdzie przybierają one postać nie płodnej tradycji, lecz martwego anachronizmu i — co gorsza — rozmazują wyrażane przy ich pomocy uczuciowe treści w pływające sentymentalizmu. Perspektywa poetyckiego i ludzkiego sentymentu, ukazana przez M. A. Jaworskiego w „Wisły w Kazimierzu”, oblicuje bowiem zbyt interesujące i cenne w swoich literackich wymiarach widoki, by wolno je było zwać i słycać zbyt długą stagnacją artystycznego rzemiosła.

słańcowi. Arceztowania po kościółkach odbyły się dnia 14 października 1861 roku. Małżeństwo Faleńskich trwało już wówczas owa lata, ale związek poety z Lubelszczyzną, tak kiedyś silny, należał już do przeszłości. Wieniawscy osiedli później także w Warszawie. Tekla Faleńska umarła we Lwowie. Pięć lat korespondencji Trębickiej i Faleńskiego, a wreszcie zawarte przez nią w 38 roku życia małżeństwo, to jednak istotnie „lubelski” epizod biografii Faleńskich.

Maria Grzędzińska

Szlakiem lirycznych przystanków

Stefan Wolski upodobał sobie szczególnie liryczny monolog opowiadający spokojnie i jakoś bardzo po prostu, po ludzku, o perypetiach otaczającej życia i wyobraźnię artysty rzeczywistości. Sprawowanie, raczej — pamiętnik tych perypetii, zatyłował „Szedłem tedy” używając czasu przeszłego i dokonanego wcale nie przypadkowo. Droga poetycka Wolskiego — przynajmniej, jak się ją widzi w trakcie lektury jego tomiku — to właśnie pasmo lirycznych przystanków, które się prędzej czy później opuszcza, lecz nie po to, by nigdy do nich nie wrócić — chociażby wspomnieniem. Wolski wspomina często, chętnie i świadomie — wiedząc, że właśnie na retrospekcji zasadza się specyfika jego poezji.

Retrospekcja jest w „Szedłem tedy” bardzo osobista, lecz nie egocentryczna, co więcej — nie obejmuje wyłącznie spraw i interesów osobistych. Wolski objawia częstokroć, zwłaszcza w drugiej i trzeciej części zbioru, predyspozycje historyzofa w bardzo ludzkim, wrażliwym jednak rozumieniu tego zadumanego epitetu, przeżywa głęboko toczone się wokół niego i co więcej — wlokące go za sobą dzieje, wstawia je jakoś w kategorię własnego poznania i własnej hierarchii wartości. Zapewne dlatego w wierszach tych skraca się często gwałtowny dystans czasowy dzielący wspomnianego od wspomnieniowej materii, pisarz kreśli swoje frazy na „gorąco”, traktując już wyraźnie poezję jako środek poznawania i odczuwania świata, zwłaszcza — losu człowieka w historii.

Albowiem autorowi „Szedłem tedy” obca jest tęsknota demiurga, pasja poprzybosłowego konstruktysty, wyręczającego Boga w stwarzaniu i układaniu świata, sprowadzonego choćby do elementów postrzeżenia, funkcji wyobraźni. Monolog liryczny Wolskiego jest również odległy od krygujących się i wykrzywających się w karkołomnych pozach łwestli aktorów i tragafarów, w jaki zmieniają się niejedne liryki zwłaszcza najmłodszych debiutantów. W tych wierszach swobodne przelamywanie frazy, oszczędne dozowanie obcych rebusom i szczyrom metafor, spokojne a delikatne wiązanie młodopolskiego wiersza wolnego z ulepszeniami wniesionymi do „czwartego mebrum” przez Tadeusza Różewicza — wszystko to ma dla Wolskiego wartość jedynie funkcjonalną i jest podporządkowane jako środek ekspresji treści lirycznej. Są to zatem przysłówiowe środki do celu — nie więcej, nie ponadto.

To dobrze, lecz jednocześnie — to szkoda. Ceniąc autentyczność poetyckiej drogi Wolskiego — trudno nie zamyslić się z obawą nad jej kształtem i zakretem. Cel owej drogi jest słuszny, co więcej — rzadki w swojej autobiograficznej pokorze (i dla Wolskiego bowiem poezja to synonim i odpowiednik pamiętnika), co jednak nie znaczy, by usprawiedliwiał popełnianie dla jego uzyskania łatwizny, uproszczenia, świadomą chyba rezygnację z wyższego lotu. Bo wiersz wolny to jednak nie prozajizm („Ten smutek każdy musi zrozumieć”), oszczędna metafora to nie banalne porównanie („oczy... stały się wielkie jak zgroza”), a potęgowa ekspresja nie da się uzyskać powtarzaniem identycznej frazy zaraz na początku utworu („Myśli moje muszą być smutne”). Przykłady te zaczerpnąłem z jednego wiersza, całkiem zresztą nie-

(Dokończenie na str. 8)

* Stefan Wolski: „Szedłem tedy”. Lublin 1959, s. 62, 1 nrb. Bibl. Kameny.

FILLOZOF

AMBROSE
BIERCE

Przełożył:

JERZY
KRZYSZTOŃ

— Nazwisko aresztowanego?
— Skoro i tak mam je stracić o święcie, nie będę go ukrywał. Parker Adderson.

— Ranga?
— Raczej niewysoka. Oficerów nie wysyła się na przespługi, bo można za to zapłacić głową. Jestem sierżantem.

— Z jakiego pułku?
— Pan wybacz. Moja odpowiedź, o ile się orientuję, mogłaby panu dać pojęcie o tym, czyje oddziały znajdują się na pańskim froncie. Sam właśnie przyszedłem, aby się tego dowiedzieć. Ja zdobywam, ale nie udzielam informacji.

— Nie brak wam dowcipu.
— Jeśli ma pan cierpliwość poczekać do rana, zobaczy pan, jak mi młna zrzędnie.

— Skąd wiecie, że macie umrzeć jutro rano?
— Tak się już przyjęło wśród szpiegów przychwyconych nocą. To jeden z miłszych przywilejów tego zawodu.

General na tyle zrezygnował z powagi, jaka przystoi oficerowi o wysokiej randze i szerokiej sławie, że uśmiechnął się. Ale nikt z obecnych nie wziął uśmiechu za dobry znak. Nie był to wesoły ani zaraźliwy uśmiech, który go wywołał, ani do wartownika pod bronią, który wprowadził aresztowanego do namiotu i stojąc na uboczu obserwował go bacznie w żółtym blasku świecy. Wojsk ów nie miał obowiązku uśmiechać się, został tu odkomenderowany w innym celu. Rozmowa położyła się dalej; miała charakter rozprawy sądowej, w której oskarżonemu grozi kara śmierci.

— Przyznaje pan więc, że jest pan szpiegiem. Przedostał się pan do mojego obozu, przebrany w mundur konfederacki, aby potajemnie zdobyć informacje dotyczące liczebności i nastroju moich wojsk.

— Zwłaszcza liczebności, panie generale. Z nastrojem zapomniałem się już wcześniej. Jest beznadziejny.

General znów się rozpromienił; warownik we wzmożonym poczuciu odpowiedzialności przybrał jeszcze sroższą minę i jeszcze mocniej wyprężył się. Obracając na palcu szary kapelusz, szpieg rozczytywał się leniwie dookoła. Znajdował się w surowym pomieszczeniu. Był to zwykły namiot ze ściankami o rozmiarach osiem na dziesięć stóp, oświetlony tojową świecą wetkniętą w nasadę bagnetu. Bagnet tkwił w sosnowym stole, za którym siedział general, zajęty pisanie. Zapomniał widocznie o nieproszonym gościu. Stary dywan zaścielał podłogę; wysłużony kufer ze skóry, dwa krzesła i zwój koców stanowiły prawie całe urządzenie namiotu. Pod komendą generala konfederacka prostota i ubóstwo dekoracji osiągnęły szczyty doskonałości. Na wielkim gwoździu, wbitym u wejścia w ścianę namiotu, zwisał pas z długą szablą, pistolet w pochwie i — ni stąd, ni zowąd — nóż myśliwski. Na temat tego absolutnie nieżołnierskiego oręża general zwykł udzielać wyjaśnienia, że jest to pamiątka z cywila, z czasów pokoju.

Noc była burzliwa. Deszcz lał strumieniami i bebnął głucho w płachtę namiotu, którym targał porwisty wiatr, aż trzeszczały słupy i naprężone linki.

General skończył pisać, złożył karcetkę i odeszwał się do wartownika, który pilnował Addersona.

— Oddasz to, Tassman, szefowi sztabu. A potem wracaj.

— A więzieln, panie generale? — spytał żołnierz salutując; zerknął przy tym na nieszczęsnika.

— Rób, co ci mówię — odparł zwięźle dowódca.

Żołnierz wziął karcetkę, odsunął płachtę namiotu i nurknął w mrok.

General Claverling zwrócił swoją przystojną twarz w stronę szpiega, spojrział mu w oczy dość łaskawie i powiedział:

— Paskudna noc, mój człowieku.
— Owszem, dla mnie.
— Domyśla się pan, co napisałem?
— Coś, co warto przeczytać. Staję się zarozumiały, ale śmielem przypuszczać, że wspomina się tam o mojej osobie.

— Owszem. Naszkicowałem rozkaz o pańskiej egzekucji, który ma być odczytany po pobudce. Ponadto parę uwag dla naczelnika żandarmerii w sprawie przygotowania tej imprezy.

— Mam nadzieję, panie generale, że impreza zostanie pomyslowo przygotowana, gdyż wezmę w niej osobisty udział.

— Czy pan ze swojej strony nie chciałby poczynić jakichś przygotowań? Nie życzy pan sobie kapelana chociażby?

— Cóż mi z tego przyjdzie, że i kapelan się nie wyślę.

— Boże święty! Człowieku, czy ty chcesz iść na śmierć tylko z żartami na ustach? Nie wiesz, że to rzecz poważna?

— A skąd mam wiedzieć? Nigdy w życiu nie umarłem. Słyszałem, że śmierć to sprawa poważna, ale od nikogo z tych, którzy jej doznali.

General milczał przez chwilę. Zaciekawiał go ten człowiek, a może i bał się — pierwszy raz zetknął się z kimś takim.

— Śmierć — powiedział — w każdym razie jest utratą. Tracimy to szczęście, jakie mamy, i to, które nas czeka.

— Strate, której nigdy nie będziemy sobie uświadamiać, można znieść ze spokojem, a przeto oczekiwać jej bez obaw. Musiał pan zauważyć, panie generale, że spośród wszystkich nieboszczyków, z jakimi ma pan przyjemność stykać się jako żołnierz, żaden nie zdradza oznak żalu.

— Jeśli śmierć nie jest stanem przykrym, to sam proces — sam akt umierania — wydaje się wyraźnie nieprzyjemny dla tego, kto nie stracił zdolności odczuwania.

— Niewątpliwie ból nie jest przyjemny. Zawsze sprawiał mi większą lub mniejszą przykrość. Ale ten, kto żyje najdłużej, jest najbardziej na tę przykrość narażony. To, co pan nazywa umieraniem, to po prostu ostatni ból — w istocie nie istnieje coś takiego jak umieranie. Powiedzmy na przykład, że usiłuję uciec. Pan wyciąga rewolwer, dyskretnie schowany na kolanach pod stołem, i...

General spawował jak panienka, potem zaśmiał się cicho, pokazując lśniące zęby, kiwnął lekko głową i nie powiedział nic. Szpieg ciągnął dalej:

— Strzela pan i dostaję w żołądek. Padam, ale żyję. Leżę w agonii i za pół godziny jestem martwy. Ale przez te dwa kwadransy w dowolnym momencie byłem albo żywy, albo martwy. Nie ma stanu przejściowego... Kiedy mnie jutro rano powiesz, będzie zupełnie tak samo: gdy będę żywy, zachowam świadomość, gdy martwy — stracę. Natura urządziła tę rzecz całkiem jakby w moim interesie, sam bym ją tak urządził. To takie proste — dodał z uśmiechem — aż wydaje się, że w ogóle nie warto ludzi wieszać.

Po tych słowach zapadła długa cisza. General siedział nieporuszony, patrząc w twarz Addersona, ale wyraźnie nie słuchał tego, co zostało powiedziane. Jak gdyby jego oczy sprawowały straż nad więźniem, gdy umysł zajmował się innymi sprawami. Wreszcie odetchnął głęboko, wzdygnął się, jak obudzony z okropnego snu, i zawołał prawie niedosłyszalnie: „Śmierć jest straszna!” — ten żołnierz, sługa śmierci.

— Była straszna dla naszych dzikich przodków — powiedział z powagą szpieg — ponieważ nie dostawało im inteligencji, aby wyodrębnić pojęcie świadomości od pojęcia form fizycznych, w których się ona objawia. Podobnie jak maipa — na jeszcze niższym stopniu inteligencji — nie potrafił sobie wyobrazić domu bez mieszkańców i widząc zrujnowaną chatę dopatruje się cierpiącego w niej człowieka. Dla nas śmierć bywa straszna, gdyż odziedziczyliśmy skłonność do takiego myślenia. Stąd nasze pojęcia o innym świecie, uzasadniane przez dzikie i fantastyczne teorie — tak jak nazwy miejscowości dają żer legendom, które je tłumaczą, a beżmyślne postępowanie — filozofom, które je uzasadniają. Może mnie pan powieść, panie generale, ale na tym pańska władza ozygnienia zła się kończy. Nie może mnie pan skazać na niebo.

General jakby tego nie słyszał; słowa szpiega skierowały jego myśli na nieuczestniczący tor, ale dalej biegły one samodzielnie ku własnym konkluzjom. Burza ucichła i majęstał nocy użłebł się jego refleksjom, nadając im posępny odcień metafizycznej trwogi. Być może był w tym element przeczuć.

— Nie chciałbym umrzeć... — powiedział. — Nie dzisiaj.

Przerwał mu — jeśli rzeczywiście zamierzał mówić dalej — wejście oficera sztabu. Był to kapitan Hasterlick, naczelnik żandarmerii. General natychmiast otrząsnął, wyraz roztrągnięcia zniknął z jego twarzy. Skinął głową, gdy oficer mu salutował.

— Kapitanie — powiedział — ten człowiek to szpieg Jankeś. Został

(Dokończenie na str. 6)

Z miłości

Miłość to słowo-magnes, które od zarania literatury elektryzuje i przykuwa uwagę czytelników i słuchaczy.

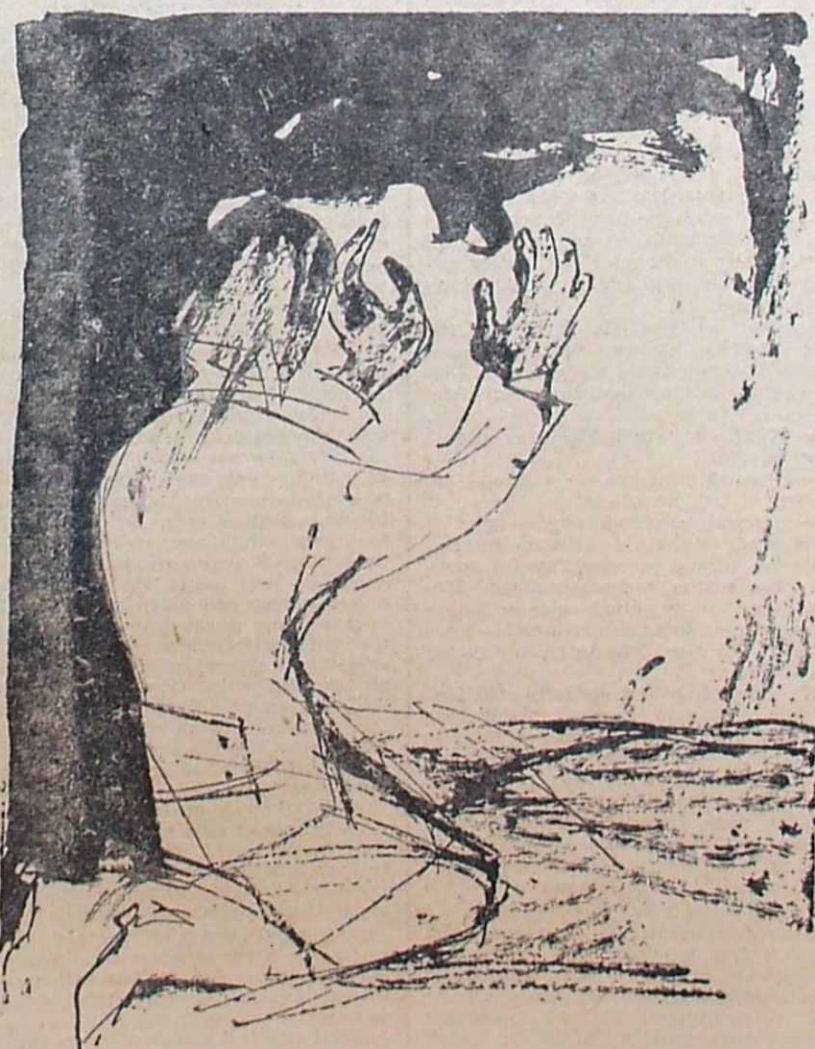
Miłość to odwieczny i potężny motyw literacki. Jak niewiele ostałoby się z literatury światowej, gdyby wytrzebić ją z dzieł poświęconych temu staremu a wciąż nowemu uczuciu. Lista arcydzieł literatury to — z małymi wyjątkami — lista dzieł o miłości. Na upartej można by dzieje literatury przedstawić jako krocący przez stulecia korowód par miłosnych. Hektor i Andromaka, Odyszeusz i Penelopa, oblubieniec i oblubienica z „Pieśni nad pieśniami”, Eneasza i Dydona, Tristan i Izolda, Romeo i Julia, Otello i Desdemona, Julia i Saint-Preux, Manon i kawaler des Grieux, Paweł i Virginia, Adolf i Eleonora, Fabrycy del Dongo i Klelia, Lucjan de Rubempré i Estera, Fryderyk i pani Arnoux, i tak dalej i tak dalej, aż do Jordana i Marii, do Maćka i Krystyny. Zresztą nasza epoka nie jest chyba na miłość najłaskawsza: czy to przez wstydlivość uczuć, czy przez natłok innych problemów, czy przez dezintegrację miłości, która w jaskrawym i bezlistnym świetle nowoczesnej psychologii i psychopatologii zdaje się tracić wiele z przypisywanych sobie atrybutów. W każdym bądź razie w dziełach pisarzy tak reprezentatywnych dla naszej epoki, przynajmniej dla kręgu — nazwijmy go umownie — „śródziemnomorskiego” jak Kafka, Camus, Beckett, Dürrenmatt, Gombrowicz — miłość gra w najlepszym razie bardzo drugie skrzypce. Rzecz ciekawa, że inaczej jest w literaturze amerykańskiej. Współcześni mistrzowie tej literatury, Faulkner i Hemingway (podarujmy sobie Caldwell) — to pięć miłości, autorzy poświęconych jej przejmujących stron. Podobnie zresztą ma się rzecz z literaturą radziecką, która w swym rozwoju odeszła bardzo daleko od pierwotnej teorii „szklanki wody”. Nad literaturą radziecką dominował do niedawna ideał miłości, który można by nazwać stoicko-dydaktycznym; ale Grigorij i Aksinia wciągają się w wielki korowód literackich kochanków, ofiar bogini, co „sama wpila się w gardziel ofiary” — „Venus toute entiere à sa proie attachée”.

W literaturze miłość odgrywała dotychczas bodaj większą jeszcze rolę niż w życiu. N'e tylko dlatego, że literatura mitologizuje tę sferę uczuć, podobnie zresztą jak mitologizuje wiele innych spraw. Także i dlatego, że bohater literacki to wyjątkowo tylko dziecko lub starzec, w ogromnej większości wypadków — to młodzieniec lub człowiek w sile wieku. Wiek literacki to wiek miłości. Granica tego wieku w literaturze przesuwana się zresztą dość wyraźnie. Wiadomo, jakiej rewolucji dokonał tu Balzac, każąc kochać się kobietom trzydziesto- i więcej-letnim. Kontynuatorzy jego poszli dalej. Freud w ogóle zatarł dla tych spraw granicę wieku, ukazując człowieka od kolebki po trumnę jako „animal eroticum”. Ale jeszcze dalszą powieść Nabokowa o miłości do dwunastolatki i z dwunastolatką budzi sensację o posmaku skandalu...

Literatura śledzi życie, podchwytuje dokonujące się w nim przemiany i tendencje, utrwała je, na ich podstawie tworzy nowe wzorce, a te z kolei odciskają się na empirii. W poszczególnych epokach życie stylizuje się na literaturę. Średniowiecze tworzy i egzekwuje ideał kochanka-rycerza i wiernej damy serca. Renesans lansuje model żywiołowej zmysłowości, przy której głównym problemem jest dopasowanie i wydolność fizyczna — przypominał: Rabelais, Boccaccio, Brantôme, Wiek XVII tworzy model kochanka-wzdychacza, sielankowego Celadona, a na drugim biegunie, w mroku ponurej doktryny o predestynacji — odkrywa tragiczną miłość-namiętność, z którą zmagają się bezskutecznie bohaterowie Racine'a. Wiek oświecenia od cynicznej definicji: „zetknięcie dwu naskórków i wymiana dwu kaprysów” przechodzi do romantycznego wzorca miłości, pojętej jako siła boga i niszczylińska zaraza, od śmierci silniejsza, ale o śmierć się ocierająca: miłość romantyczna to miłość samobójcza. Biologiczna koncepcja miłości doby naturalizmu ustępuje prachucy „fin-de-siècle'u”. Z kolei problem miłości zdaje się stawać coraz bardziej sprawą samotności we dwoje...

Miłość jest wielkim tematem literatury; była też nierzadko bezpośrednim bodźcem twórczym. Niejedno dzie-

(Dalszy ciąg na str. 6)



JAN NAGRABIECKI
Biograficzny

Urodziłem się podobno na szczęście (a może dla ruchu tylko ponieważ życie oznacza ruch) i pragnę śpiewać swoją Toskę

Wszystkie ciotki odsłukały na moją intencję w niemalowane drzewo ostrzegaly przed czarnym kotem gdyby kot (rany boskie) przeciął drogę

Podrosłem i pobiegłem na północ na północ z lodu Lecz czarny kot śnieżną przeciał drogę

Więc na południe w ogrody i winnice kot

wąskie przebiegił ulice

Na wschód biegnę z nadzieją Czarny kot przeskoczył żelazne koleje

A gdzie zachód fruwały niebieskie ptaki Czarny kot górskie znów przeciął szlaki

Cóż mi pozostało Nigdzie miejsca —

nawet w jeziorze na dnie

Ziemię zamień mnie w chmurę która deszczem nigdy nie spadnie

Filozof

(Dokończenie ze str. 5)

pojmamy w obręb naszych stanowisk, miał przy sobie kompromitujące dokumenty. Przyznał się do winy. Jak z pogodą?

— Burza przeszła, panie generale, i księżyc się pokazał.

— To dobrze. Proszę wziąć pluton, odprowadzić natychmiast więźnia na plac i rozstrzelać.

Bolesny okrzyk wyrwał się z ust szpiega. Więzień rzucił się naprzód, wyciągnął szyję, wytrzeszczył oczy, zacisnął ręce.

— Boże mój! — wybelkotał chrapliwym głosem. — Pan nie mówi tego serio! Pan zapomina... mam umrzeć dopiero z rana.

— Wcale nie mówiłem, że z rana — odparł zimno generał. — Pan sam to sobie wmówił. Umrze pan teraz.

— Ależ generale, ja proszę... Ja błagam, aby pan pamiętał, mam być powieszony! Wzniesienie szubienicy zajmie trochę czasu, z dwie godziny, godzinę. Szpiegów się wieszca, tak mówi kodeks wojskowy. Przysługują mi pewne prawa. Na litość boską, generale, niech pan się zastanowi, jak mało...

— Kapitanie, proszę wykonywać moje rozkazy.

Oficer dobył szabli i przenosząc wzrok na więźnia wskazał mu w milczeniu wyjście z namiotu. Szpieg ociągał się. Kapitan wrzucił go za kolumnę i popełnił lekką naprzód. Gdy mijali śnieg, zajadły człowiek skoczył z kolumny zwinnością, schwył myśliwski nóż, wyrwał go z pochwy, odepchnął na bok oficera i z szaleńczą furją rzucił się na generała. Zwałł go na ziemię przyniatając własnym ciałem. Stół się przewrócił, świeca zgasała, walczyli po omacku w ciemnościach. Naczelnik żandarmerii skoczył na pomoc dowódcy i sam się zwałł na kłębówisko walczących. Przekleństwa, zduszony krzyki bólu i wściekłości dobywały się z płataniny ciała. Namiot runął na niego, wśród krepujących fald walka trwała dalej.

Wracający po wykonaniu rozkazu szeregowy Tassman zobaczył, co się dzieje, i domyślając się po trosze, co zaszło, rzucił karabin, chwycił na chybił trafił miotającą się płachtę i usiłował daremnie ściągnąć ją na bok. Wartownik zaś, który chodził tam i z powrotem i nie śmiał opuścić posterunku, choćby się niebo waliło na głowę — dał w górę ognia. Wystrzał postawił obóz na nogi; werble i trabki odezwały się na alarm. W świetle księżycy wybiegali chmarą na wół ubrani żołnierze dopinając po drodze mundury i ustawiając się w szereg na ostre komendy oficerów. Tak było trzeba, żołnierzom w szeregu nie udzielała się pa-

nika. Stali pod bronią, podczas gdy sztab generała i ludzkie eskorty podnieśli namiot i rozdzielili zdyszanych i krwawiących uczestników tej niezwykłej potyczki.

Jeden tylko nie odychał, był to kapitan. Nóż myśliwski tak głęboko uwiązł mu w gardle, aż trzecie zaparł się końcem o szczyk i napastnik, który zadał cios, nie był w stanie uwolnić noża. Ręka zabitego zaciskała szablę tak mocno, że urągała sile żywych. Klinga splamiona była czerwienią aż po samą rękojeść.

Podniecony na nogi generał osunął się z jękiem na ziemię i zemdlął. Prócz śniów miał dwie rany od szabli — przebite udo i pierś.

Szpieg ucelował najmniej. Poza złamaną ręką, jego obrażenia były takie, jakie mógłby odnieść w zwykłej bitwie bez użycia broni. Znajdował się jednak w stanie oszołomienia i chyba nie zdawał sobie sprawy, co zaszło. Odsunął się od otaczających, skulił się na ziemi i nie rozumiał o co się dopominał. Jego twarz spuchnięta i posiniaczona wyglądała spod zmierzwiionych włosów blada jak u trupa.

— To nie wariat — odparł na pytanie lekarza przygotowujący bandaże. — Cierpi z przerażenia. Któż to taki, nie wiecie?

Szeregowy Tassman zaczął wyjaśniać. Była to dla niego jedyna w życiu okazja; nie pominął niczego, co mogłoby w jakiś sposób podkreślić wagę jego osobistego udziału w wypadkach tej nocy. Kiedy skończył i był gotów zacząć od nowa, nikt nie zwracał już na niego uwagi.

Generał właśnie odzyskał przytomność. Podniósł się na łokciu, rozejrzał dokoła i zobaczywszy szpiega pod strażą, skulonego przy ognisku, powiedział z zycząciami:

— Weźcie tego człowieka na plac i rozstrzelajcie.

— General majaczy — odezwał się stojący w pobliżu oficer.

— General nie majaczy — powiedział szef sztabu. — Otrzymałem od niego na piśmie polecenie w tej sprawie. Tenże sam rozkaz przekazał Hasterickowi — tu skinął ręką w stronę zabitego naczelnika żandarmerii — i zostanie — jak mi Bóg miły, wykonany natychmiast!

W dziesięć minut później sierżant Parker Addison z armii federalnej, filozof i dowcipniś, kłęcząc w świetle księżycy i skamłąc o życie, został rozstrzelany salwą dwudziestu karabinów. Kiedy salwa naruszyła wrażliwe powietrze nocy, generał Clavering, leżąc blady i spokojny w krwawym pobłasku ogniska, otworzył wielkie niebieskie oczy, popatrzył łagodnie na zebranych i powiedział: „Ach, cóż za cisza!”

Lekarz spojrział na szefa sztabu smutno i wymownie. Powieki rannego powoli opadły, i leżał tak kilka chwil, aż twarz jego zajaśniała uśmiechem; powiedział cicho: „Przypuszczam, że to właśnie śmierć” — i tak odszedł ze świata.

Przełożył

Jerzy Krzysztoń

To był także sposób uczczenia...

(Dokończenie ze str. 1)

cia Racheli. Gwiazda Polski błądo świeci na drodze mlecznej narodów, ale zniczem jej dzieci jest miłość ojczyzny. Ich skarbem są klejnoty sztuki... Dla nas jest Modrzejewska prawdziwym objawieniem". Wkrótce potem poeta amerykański, R. Hinton, pisze w San Francisco: „Pani! Dzięki Twym występom widzimy, że sztuka nie ma ani granic, ani mety, ani wierzów... Córkę Sarmacji wielką! Bądźże pozdrowiona w naszym kraju, za który bliscy ci bohaterowie walczyli. Ty, przyczyniając się do nowych triumfów, zawiązujesz na nowo dawne nici i nowy blask dodajesz do kart, które już stała nakreśliła". W 1878 r. na pierwszym występie amerykańskim w Bostonie był wielki poeta amerykański Longfellow. W 1879 r. pisarz ten, zapalony do polskiej sztuki dzięki artyzmowi Modrzejewskiej, poprosił o przesłanie francuskiego przekładu pism Mickiewicza! 9 października 1880 r. rozpoczęła Pani Helena dziewięćmiesięczną serię występów w Londynie. W 1882 roku pisał recenzent „The New York Herald” po przedstawieniu „Jak wam się podoba?” z Modrzejewską w roli Rozalindy: „Od dawna już nie biegała po zaczarowanym lesie ardeńskim tak świeża, urocza i ładna Rozalinda. Była to kreacja prawdziwie kobieca, pełna wesołej młodości i gorącego życia". Wielki czeski poeta, Jarosław Vrchlicky, w ciekłym dla siebie okresie życia przysłał Modrzejewskiej tom wierszy ze znaną dedykacją: „Boska! Moriturus te salutat!” A dyrektor Narodnego Divadla w Pradze, F. A. Schubert, pisał we wspomnieniu pośmiertnym: „Modrzejewska przy całej naturalności i prostocie swej gry, przy czarującej wymowie nie była ani modernistyczną realistką, ani deklamatorką, mimo że urodziła się w epoce deklamacji. Była sobą... Wszystko, co ten lub ów kierunek w sztuce daje artyście jako środek, ona opracowywała i przysposabiała dla siebie swą własną miarą, własnym charakterem talentu. Był to naj-

wspanialszy kwiat sztuki dramatycznej". Sprawa Modrzejewskiej, przykład Modrzejewskiej, przebieg wydarzeń związanych z zadziwiającą karierą wielkiej artystki — ileż dla nas zawierają nauki jakże aktualnego sensu. Wszystko, co osiągnęła i co zdobyła dla rozświetlenia i siebie, i imienia polskiego na świecie — osiągnęła Modrzejewska nie samym tylko talentem, ale i najcięższą, najtrudniejszą, najboleśniejszą pracą. „W sezonie 1867—1868 uczyłam się tak wleć rolę, że pewnego dnia doświadczyłam okropnego przeżycia — czasowej utraty pamięci!” — píše Modrzejewska w swych „Pamiętnikach”. „Było to najstraszniejsze doznanie, jakie sobie można wyobrazić. W czasie próby scenicznej „Intrygi i miłości” nie mogłam sobie przypomnieć ani jednego słowa z roli Luizy, którą grałam przedtem wiele razy, i nawet próbowałam poprzedniego dnia”. A i do końca życia, nie zważając na zmęczenie i chorobę, Modrzejewska pracowała z żelaznym nakładem nieubłaganej woli. Mając blisko 40 lat wspaniale nauczyła się po angielsku. Pod koniec swej wielkiej kariery przedwzięła opanowała zupełnie dla siebie nową „poetykę” Wyspiańskiego. „Sławę sztuki polskiej roznieśli za oceany” — taki napis, z inicjałami Sienkiewicza i Rydla, umieszczono na krakowskim grobowcu Modrzejewskiej.

Wojciech Natanson

STEFAN ZARĘBSKI Ostatni występ Grocka

Rzeźby lwy w żelaznej klatce.
I uśmiechnął się do siebie Grock.
Był już stary.
Skończył akrobata.
Wężowym ciałem ześliznął się z masztu.
Schedami braw.
Namiotu spadachron.

Miasteczko aniołów

(Dokończenie ze str. 2)

chetnych ludzi. Dziecko spoczywa bezpiecznie w miłości rodziców i na swój sposób tłumaczy sobie obrzędy religijne, role świętych i legendy o ludzkości. Są to najpiękniejsze karty książki, gdy sunie korowód zalotnych i wspaniałych widm ze sceny zapomnianego zakątka i minionej epoki.

Z latami spojrzenie dziecka się obiektywizuje. Solomea spotyka na swej drodze coraz nowe osoby. Powiązane fabularnie dzieje losów ludzkich dają sugestywne stronicie książki, jakby poszczególne nowel wplecionych w całość.

Wstrząsający jest opis ślepego starca, powstańca 1863 roku, lub „przechrzyty” — nosiwody. Nurt małomiasteczkowego życia ujawnia różne tragedie, czasem napomknięte tylko, jak zjawia damy Anucuty na balkonie, czy śmierć rewolucjonistów zmierzonych w kuźnice przez kule armatnie. Czasem Zarembina daje dłuższy opis, jak trzech sióstr — córek carskiego pułkownika, czy przygotowań przez rubasznego księdza dzieci do spowiedzi. Wiele jest stronic poświęconych współżyjącym obok Żydom w tym miasteczku, ich nędzy i tragedii ludzi spletnych zabobonem, własnym i otoczenia. Salusia „musi się płatać między niestworzonymi rzeczami”, jak mówi jej ojciec Kaj — gdyż „Rzeczywści zostawiają za sobą trop tak mylny, że iść tym śladem znaczy gubić ślad” — mówi już od siebie autorka (str. 153).

W końcowych partiach narracja powieści zagęszcza się, nika baśniowe kolory, uduchawienia. W lańdarnych skrótach podaje Zarembina sytuacje i przeżycia ludzi, świadczące o pogłębianiu się wciąż doświadczeń pisarza.

„Miasteczko aniołów” wzdaje się być rachunkiem ze sobą, próbą poznania siebie w przeszłości. Jest też pewną miarą proporcji czasu i jego odmian w nas.

„Nikt nie jest zdolny wyzwolić się ze swego dzieciństwa” — mówi gdzieś Zarembina.

„Co jest rzeczywistością? — myśli opisująca te sprawy po tylu latach

dojrzała, samotna kobieta. — Co jest rzeczywistością: to tylko, czego jesteśmy świadomi? Czy też także i to, co umyka naszej świadomości, nie przystając jednak kształtować zachodzących w naszym otoczeniu zdarzeń i wywierając wpływ na związane z naszymi cudze uczucia?..”

A dalej:

Joanna nie ufała nikomu i niczemu, nie wylaczając siebie samej.

Najpierw przeciwstawiwszy sobie dwie wrogi, jak jej się wydawało, siły: życie i śmierć, próbowała pogodzić je przy pomocy trzeciej — miłości. Ale rychło okazało się, że miłość czyni jeszcze większym rozdarcie między życiem a śmiercią; nie ułatwiając życia, utrudniała, wręcz niemożliwą do przyjęcia czyniła śmierć. I tak Joannie przyszło wyzwać się z jedynego dobra, jakie posiadała, z miłości... jeśli chciała zachować spokój wobec życia i godność wobec śmierci.

To już ostatnia miara czasu — wobec przegranej i starości.

„Miasteczko aniołów” jest piękna książka, dopełniająca pisarstwo Ewy Szelburg Zarembiny.

Halina Maria Dąbrowska

Z miłości

(Dokończenie ze str. 5)

ło literackie jest dziekiem miłości, jest jej utrwalałym kształtem. To li-ryka miłosna o konkretnym adresle, to tak bogata w świetne walory literackie epistolografia miłosna, to także wszelkie utwory, w których temat miłości wyrasta na podłożu autobiograficznym. W tych dziełach sprawa tworzenia się nowych wzorców dzięki autentycznemu materiałowi przykładowego rysuje się ze szczególną wyrazistością.

I może dlatego warto będzie czytelnikom „Kamień” — po tych ogólnych i ogólnikowych rozważaniach wstępnych — przypomnieć w zamierzonym przez nas cyklu najznamienniejsze z dzieł-autentyków źródłowych z miłości.

AMA

Błogosławiona bądź, łaźnio

EDWARD STACHURA

Tak jak dworzec był moim nocnym, zimowym hotelem, tak łaźnia przysparzała mi dzień. Kiedy się nie ma tego, co wy, łaźnia jest instytucją nad wyraz gościnną. A jeśli jeszcze jest zima i zimno, i wiatr, i śnieg, i mróz, i zimno bardzo, to trzeba błogosławioną łaźnię i czynić to w tej chwili. Błogosławiona bądź, łaźnio — hotelu przyjazny. Myślałem, że kapalaś, a grzałaś. Odnajdywałem u ciebie ciało moje i cieszyłem się nim, bo to jest złota zła — swoje ciało. Błogosławiona bądź, wieżo z kości słoniowej, błogosławiona dolino-obiecana, po brudnych ławkach dworcowych każdego poranku obiecana. Ty znasz mnie dobrze, o pani dobra i pełna czułości. Strugi twoich gorących palców zdejmowały z mojej szyi, pleców i nóg skorupę twardą i chropowatą, którą nakładają na mnie — noc, poczekalnie dworcowe, ławki, te wszystkie inne panie niedobre i pełne okrucieństw, które chleptać musiałem. To nie są chyba twoje siostry, no bo jakże.

Chodziłem do łaźni co dzień. Otwierano ją o siódmej. O tej samej porze — w poczekalni dworcowej zaczynało się sprzątanie. Wypraszano z tej racji na dwie godziny wszystkich podróżnych i mnie tak samo. Jeśli wymieniam siebie oddzielnie, to nie znaczy, że ja nie byłem podróżnym. Byłem nim. Jestem nim. Dlatego chyba dobrze powiedziałem: — „wypraszano z tej racji na dwie godziny wszystkich podróżnych i mnie tak samo”. Ktoś powie może, że nie czekałem na pociąg. Czekalem na pociąg. Ale miał opóźnienie — mój pociąg. Miał opóźnienie.

O siódmej więc szedłem do łaźni. Oczywiście na przysnec. Bilet kosztował jeden złoty i pięćdziesiąt groszy. Na wanny kosztował drożej, ale na wanny nie chodziłem. Na wanny chodziła arystokracja. Zresztą ja wolałem przysnec. Sala była duża i mogłem siedzieć pod przysnecem, ile mi się podobało. Długo siedziałem. Na wanny była zawsze prawie kolejka. Ja to bym nie mógł się kąpać, wiedząc, że ktoś tam czeka i prosi Boga albo kogo innego, żebym sobie jak najprędzej poszedł. Z początku kupowałem bilety, ale później zaprzyjaźniłem się z Panem Józefem i już „wszystko grało” — jak Pan Józef mawiał, Pan

Józef miał śliczne, białe włosy i dużo mi opowiadał, jak to na wojnie z 14 roku bywało. Pan J. był wtedy w samej Mandżurii. Mówiąc o Mongolkach przesuwał zawsze językiem po kącikach wąskich ust. Lubilem bardzo Pana J. i jego opowiadania, chociaż powtarzał je wielokrotnie. Dość często przychodził do łaźni znajomi Pana J. Przynosili ze sobą „ćwiartuchnę”. Kiedy Pan J. był w dobrym humorze, wolał mnie i dawał pół kielszka. „Masz tu na lekarstwo”. Lubilem bardzo Pana J. i jego dobry humor. Wódka była zimna, ale później było gorąco i pod przysnecem też było gorąco, a na dworze było zimno i wiatr był zimny. Otwieraliśmy ławki i zimny, bardzo zimny wiatr uderzał mi w twarz. Bardzo przyjemnie uderzał i dziwiłem się, dlaczego zimny wiatr nie jest zawsze taki przyjemny.

Dobrze było w łaźni. W piątki i soboty była oprócz przysneca jeszcze łaźnia parowa. Przychodzili wtedy starsi panowie z wielkimi brzuchami i z wiązkami chrustu pod pachą. Wychoząc z pary, mieli czerwone pręgi na plecach. Pan J. mówił, że to bardzo na zdrowie takie chłostanie. Ja nie chodziłem do pary. Nie mogłem tam oddychać. Dobrze było w łaźni.

Pewnego razu wyczułem, że Pan J. jest w dobrym humorze i kiedy przyszedł jego znajomi, poprosiłem go, no, jakby to powiedzieć...

— „Panie Józefie, chciałbym pana o coś poprosić”.

— „No, co tam?”

— „Ale, Panie Józefie, ja się boję,



zeby się Pan Józef na mnie nie po-gniwał”.

— „Za co mam się gniewać, no mów śmiało”.

— „Panie Józefie, ja nie mam dzisiaj gdzie spać”. (Powiedziałem, mu przedtem, że uciekłem z domu i mieszkać u ciotki. Wierzył mi. Właściwie to nie skłamałem, bo rzeczywiście spałem kilka nocy u jakiejś ciotki).

— „Co, to już nie śpisz u ciotki? Co tam znowu przeskrobałeś?”

— „Ja już nie chcę mieszkać u ciotki, Panie Józefie. Ona mi ciągle wymawia, że nie nie robię, że nie ze mnie nie wyrosnie, to ja już wolę spać gdziekolwiek (w tym wypadku też nie skłamałem, bo to były rzeczywiste słowa jednej z moich ciotek, zresztą wszyscy mi to zawsze powtarzali).

— „I ja chciałem Pana Józefa poprosić, żebym się mógł dzisiaj tu przespać”.

— „Co, tutaj chcesz spać? Coś ty zwariował? Na czym chcesz tu spać? Gdzie? Nie ma mowy! On chce tu spać, no! Gdzie? Jak? Nie ma mowy”.

Spuściłem głowę a Pan J. zaczął chodzić po sali powtarzając: — „Nie ma mowy! Nie ma mowy!”

— „Ale jak ty chcesz tu spać?” Coś było w jego głosie, bo uniosłem głowę i spojrzałem na niego. On też na mnie patrzył.

— „Przysunę sobie dwie ławki — powiedziałem — i wystarczy. Nie jestem baba. Będzie mi zupełnie dobrze”.

Była to pierwsza noc i jedyna, jaką spędziłem w łaźni. Leżąc na ławkach, przykryty czystymi prześcieradłami, które służyły za ręczniki, poczułem wtedy nocną łaźnię i szczyry, które nie dały mi, które nie chciały, bym zmrużył oko, by owinął mnie, obulł dobry sen. Przykryłem szczerze głowę i czekałem świtu, i pragnąłem świtu. Przypomniała mi się tej nocy legenda o fleciście flamandzkim i czekałem na niego, i pragnąłem go jak snu, albo świtu, wszystko jedno.

Ideowy „SAMOZWANIEC”

WANDA CHYLICKA

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej zaleca nową powieść historyczną Władysława Rymkiewicza pt. „Carewicz na ulicach Krakowa” jako powieść nęważliwie nowatorską. Jest nią w pewnym sensie. Nie formalnie, bo autor stosuje klasyczną technikę Sienkiewicza i Krauzowskiego, stosuje ją natomiast z nowego punktu widzenia, jeśli chodzi o ocenę faktów.

Przywykliśmy do pewnych schematów myślowych i — powiedzmy — na dźwięk hasła „Dymitr Samozwaniec” wyskakuje z zasobów pamięci gotowa formułka: „awanturniczy pretendent do tronu moskiewskiego”. Autor „Carewicza na ulicach Krakowa” przekroczył ten schemat. Jego Dymitr jest zarówno politykiem jak ideowcem przekonany o swej misji historycznej. Inne są prawa gry Dymitra — polityka, inne Dymitra — posłańca dziejów. Ten drugi jest szczerzy, kiedy marzy: „Ja uwolnię mój lud spod knuta. Odzykam go-sudarswo orężem, ale utrzymam, opiekując się na miłość poddanych. Nie chcę słyszeć dźwięku kajdan... Ojciec mój zostawił Moskwę drewnianą, ja, da Bóg, zostawię ją białokamenną. Uczynię wielkim mój naród!” Podobnie szczerzy są też jego intencje pogodzenia dwu największych słowiańskich narodów i... podziw dla Polski. Odwykliśmy już w pewnej mierze od narodowej megalomanii i do dobrego tonu należy raczej trzeźwe pomniejszenie — schemat małego narodu na „Trans-Atlantyku” — toteż powieść Rymkiewicza, nawracając w tym względzie do tradycji, działa odświeżająco. Chłocząc, chłosta wielki naród i wzbija nas w dumę z przeszłości, z której wiele spraw rzutuje w aktualność. Na pierwszy plan wybija się wieczny problem wolności sumienia. Fatalizm króla i skłonności inkwizytorskie świątobliwego skądinąd księdza Skargi i wtedy zaważyły ujemnie na szali dziejów polskich.

W sumie jest to pouczająca lektura, solidnie podbudowana wiedzą historyczną, zręcznie włączoną w fabułę powieściową. Język, choć archaizowany wedle niezmiennego sienkiewiczowskiego wzoru, wzbogacają metafory noszące cechy indywidualnego stylu autora.

* Władysław Rymkiewicz: „Carewicz na ulicach Krakowa”, str. 350, MON, 1959.

Zasłużony artysta

Tadeusz Markowski zna wielu mieszkańców Lublina, zwłaszcza tych starszych. Ale choć większość swego życia artystycznego spędził w naszym mieście, to jednak karierę swą rozpoczynał, jak wielu — w stolicy; tam się kształcił w klasie operowej przy Konserwatorium Warszawskim razem z Ignacym Dygasem, Lucjanem Morawskim, Edwardem Reszkem, Stanisławem Gruszczyńskim i innymi, tam też debiutował w r. 1906 jako solista w Towarzystwie Muzycznym. Występował potem w popularnych lokalach starej Warszawy: w Dolinie Szwajcarskiej, w Towarzystwie Wioślarskim, w salach reductowych, resursach, salach ratusza itp. Na konkursie śpiewaczym w r. 1907 zdobył I nagrodę (w zespole).

W latach: 1910—1911 widzieliśmy już T. Markowskiego w Lublinie na deskach letniego teatru „Rusalka”, następnie w „Panteonie” przy ul. Jezuickiej (1914—1916), a po I wojnie światowej na scenie Teatru Wielkiego (obecnie Osterwy).

Gdy teatr ten upadł i aktorzy rozjechali się w różne strony, Markowski zaczął pracować na kolei, gdzie zorganizował zespół teatralny i chór „Lutnia kolejowa”, który prowadził do r. 1929. W latach 1922—1926 dyr. Grodzicki wznowił działalność Teatru Wielkiego i wówczas Markowski, niezależnie od pracy na kolei, występował ponownie na scenie lubelskiego teatru. Wspólnie z Dzieńwiskim i Kutczykiem wystawił kilka oper, jak „Verbum nobile”, „Halke”, „Palace”, „Zamek w Czorsztynie” (w latach 1927—1932).

Markowski posiada w swym repertuarze ponad 100 ról operetkowych i 20 operowych. Po wyzwoleniu Tadeusz Markowski uprawia nadal aktywną działalność w zakresie muzyki wokalne. W rb. zasłużony artysta święci jubileusz 50-lecia swej ofiarnej służby sztuce.

MIECZYSLAW TARGOŃSKI

NASZ EKRAŃ

Składanka ze wstępem

„POCIĄG” BARDZO MIESZANY

„Pociąg” to film, dla którego trudno znaleźć jakąś zwięzłą a trafiającą w sedno formułę. Mogłoby to być komplementem: równie trudno na przykład określić krótko a jednoznacznie „Komediantów” Carné’go. N estety wydaję się, że w wypadku „Pociągu” trudność wynika nie tyle z doskonałości i pełni dzieła, co z jego ułomności, a raczej może ułomowości. Są w „Pociągu” elementy: 1. studium psychologicznego, 2. przekroju obyczajowo-socjologicznego, nareszcie, 3. po prostu filmu sensacyjnego, ale równocześnie trudno uznać dzieło Kawalerowicza i Lutowskiego za film psychologiczny, obyczajowo-socjologiczny czy sensacyjny.

Nie jest to film psychologiczny, bo nie ma w nim ani pełnych, pogłębionych i dorysowanych wizerunków psychicznych, ani też specjalnej odkrywczości w jakiegokolwiek bądź, choćby wąskiej, dziedzinie. Bo trudno w chwili obecnej uważać za szczególnie odkrywczą zasadniczą — jak się zdaje — tezę filmu, że ludzie są samotni. Z samotnością to tak trochę jak z porównaniem kobiety do róży. Kto pierwszy odkrył i ukazał, że ludzie są samotni, był genialny. Kto czyni to jako sto pierwszy, i to nie najbardziej przekonująco, jest... banalny.

Scenarzyści i reżyser przy pomocy różnych maszej i bardziej wymyślnych zabiegów sugerują widzowi, że mają do powiedzenia coś bardzo ważnego, widz z początku skłonny jest im wie-

rzyć — i tym większe rozczarowanie przy końcu, gdy widać jasno, że z tego wszystkie niewiele wynika.

Nie jest też „Pociąg” studium obyczajowo-socjologicznym, jakkolwiek temat sprzyjał może najbardziej takiemu właśnie ujęciu. Tworząca się ad hoc społeczność pociągowa, jej specjalny „eksterytorialny” czas i miejsce, rządzące nią prawa i nastroje mogłyby dać bystremu obserwatorowi wdzienne pole do popisu. Zresztą te właśnie elementy obserwacji wydobycia nastroju należą do najlepszych osiągnięć „Pociągu”.

Jeśli idzie o sensacyjność, to wyraźnie nie leżała ona na głównej linii zainteresowań autorów, jakkolwiek nie wahał się posłużyć — n’e zawsze najfortunniej i najpotrzebniej — elementami zagadki, zaskoczenia, grozy, i to nie bez dość prymitywnych akcentów melodramatycznych.

W sumie „Pociąg” zdaje się potwierdzić tezę o wadze scenarzysty: doskonałość faktury nie zastąpi treści intelektualnych, których dostarczenie jest głównym zadaniem scenarzysty. W „Pociągu” treści tych nie dostaje; film przypomina orzech włoski o miernie wyrobionej, obiecującej skorupce — i uwielbiam wnetrzu.

Jan Laskowski potwierdza „Pociągiem” swą renomę jednego z najzdolniejszych czy może w ogóle najzdolniejszego z polskich operatorów: jak znakomicie porusza się w klasnej i niewdzięcznej przestrzeni, jak pięknie, po vermeerowsku komponuje ujęcia typu portretowego. Jego robota jest chyba najistotniejszą i najbardziej niezaprzeczanym walorem „Pociągu”.

Strona aktorska więcej niż poprawna. Uwaga nieobiektywna: Kawalerowicz zwierzał się niedawno w „Zycciu Warszawy”, że Lucyna Winnicka jest jego hobby. Moim — nie.

(Dokończenie na str. 8)

